Nr. 39 (1135). Warszawa, dnia 14 (27) Września 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: André i Pelletan. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Selma Lagerlöf: Ingmarsonowie (c. d.), tłom. ze szwedzkiego F. Szukiewicz.— ŻYCIE SPOŁECZNE: Rachunki społeczne, p. Święcica. — Z nad Warty i Odry, p. Pośrednika. — Z Niemiec, p. H. — FEJLETON: Wobec historyi, p. Andrzeja Niemojewskiego. — Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Z zagadek życia, p. N. M. J. — LITERATURA I SZTUKA: Studya i wrażenia, p. Wł. Bukowińskiego. — Notatki literackie i artystyczne. — POEZYE: Sny, Umarli cicho idą... Rozstania, p. Stefana Wodzińskiego. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

André i Pelletan.

Wakacye tegoroczne posłużyły dwóm z pomiędzy ministrów francuskich: obaj przemawiali patryotycznie i obaj przeciwko Niemcom. Dawno już nie uderzano w ten ton we Francyi. Prowadząc wielką politykę dla przyszłości, Francya wyrzekła się już właśnie tej przyszłości. Życie tymczasem robiło swoje i serca Alzato-Lotaryńczyków odwracało od politycznej, kulturowej, ideowej ojczyzny. Odwet jako hasło umysłów francuskich ucichł, a rzeczywistość wyciskała na milczeniu piętno politycznego rozumu. Na co zbawiać kiedyś tych, którzy dziś już zbawionymi być nie chcą? Trzeba się pogodzić z losem, zapomnieć o stracie i szukać za nią wynagrodzenia w innej stronie. Szukała go też Francya zaraz po śmierci Gambetty (1881—2) na dalekim azyatyckim Wschodzie, w Indo-Chinach, szukała w Kongo, w Sudanie, podzielonym z Anglią, szukała w Chinach i na pograniczach Syamu. Nie znalazła go nigdzie: zapomnieć nie zdołała. Mowy ministrów są głosami serca francuskiego. Serce jeszcze zdrowe, bo pamięta i pragnie.

Gdy się czytało obie tak patryotyczne mowy sierpniowe Andrégo i zestawiło je z obchodem samorzutnym, nie urządzanym sztucznie, nie robionym, nie z intrygi stronniczej poczętym, ale szczerym, żywą prawdą tętniącym, w Mars-la-Tour, i gdy się teraz rozważa obie mowy polityczne, a zwłaszcza drugą, bizercką, Pelletana — niepodobna jest nie zgodzić się na to, że minęły już we Francyi czasy owych poszukiwań i wynagrodzeń chwytanych za Alzacyę. Nastał moment zwrotny, w którym przed lepszymi w narodzie staje wręcz już zagadnienie: kiedy i jak to, co jest wspomnieniem i uczuciem, zamienić w postanowienie i czyn; czy w danych warunkach własnej potęgi i układu innych w stosunkach z Francyą tkwią warunki poręczające, o ile rozum ludzki ręczyć może za to, co dopiero być ma, prawdopodobną, najpierw sposobność do czynu, a później i pomyślność w czynie? Nastała chwila rozwagi bardzo poważnej. Musi bowiem Francuz równie jak obcy wiedzieć, że czas samym biegiem swoim może zburzyć najlepsze warunki i układy potęgowe, jeśli się go własnym rozpędem woli nie wyprzedzi, nie powstrzyma.

Kiedy mowy Andrego żadnej nie zostawiły wątpliwości, w kogo mierzą, mowy Pelletana, gdy się dostały w uszy dziennikarskie, urosły w jakieś dzwonienie na walkę przyszłą z Włochami, a dopiero druga mowa ministra marynarki, w Bizercie, przyniosła taki manifest nieprzyjaźni ku Niemcom, że w zestawieniu z tem, co mówił André, przedstawić się nawet musiała jakby robota metodycznie podjęta, a do gorętszego jeszcze punktu doprowadzona. Niepotrzebnie zupełnie dziennikarstwo narobiło hałasu, odkomenderowało już Delcasségo do Torniellego, pobudziło Combes'a do dania nosa obu ministrom, zwłaszcza Pelletanowi, zburzyło nawet ten pałacyk z kart, który samo przecież tak niedawno postawiło: owo tajemne porozumienie się Włoch z Francyą, mające całe trójprzymierze w jednej chwili udaremnić. Mógł się Włochom ogólnie nie podobać ton mowy w Ajaccio, jak nie podoba się nam wogóle stanowczość w innych, gdy z niej może wyniknąć choćby tylko niepewność dla nas samych; ale żaden Włoch rozsądny, przeczytawszy obie mowy Pelletana, nie mógł w nich dostrzedz tego, czego w nich zgoła niema: nienawiści ku Włochom, odgróżek i gróźb. Przeciwnie, minister wyraźnie oświadczył w Bizercie: „Nie pragniemy i nie przewidujemy żadnych zatargów z Włochami i z Anglią“ — a jeżeli Francuz dziś wymawia kiedy słowo szczere, to z pewnością było niem powyższe. Francya dowiodłaby nierozumu, gdyby wyzywała obie te potęgi śródziemnomorskie i jako śródziemnomorskie; nie dowiodłaby też politycznego rozsądku, gdyby usiłowała, nie mając na zawołanie huraganu napoleońskiego, sięgać po jakąkolwiek posiadłość Włoch lub Anglii na Morzu Ludów. Włochy spokojne o Francyę być mogą: oby tylko Francya równie spokojną być mogła o Niceę i Sabaudyę w wielkim, krwawym i prawdopodobnie długim dniu rozprawy z Niemcami! Pelletan zastrzegł tylko prawa na m. Śródziemnem do tego, co już posiadła i czego sobie wydrzeć nie pozwoli, a uczynił to w słowach godnych polityka, patrzącego w przyszłość i pracującego dla przyszłości. Mógł tem dotknąć jedynie Włochy chore na nadczułość, ale nie Włochy poważne, mające zmysł rzeczywistości i powołane do polityki. Z tej strony sprawa załatwiona: co innego z Niemcami. Tu zawrzał patryotyzm gorący, zapewne tylko w słowach, które wiatr rozwiać może, ale taki, jakiego dawno, od

czasów Gambetty, w mowach ministra, czy prywatnego krasomówcy nie słyszano. To „barbarzyństwo „starej Germanii“ — ten „powrót prawa gwałtu“ — to „prawo przed siłą“ są zniewagami dla Niemiec i wyrazistością swoją huczą nawet w duszach nieniemieckich. Oddani polakożerstwu, Niemcy na razie nie odczuli zniewagi odpowiednio do jej ciężaru; ale ją zapamiętali. Można Francuzowi, wspominającemu rok straszny, wybaczyć to pasowanie Niemców na pierwszych dopiero rycerzy przemocy w dziejach: samo to przeniewierzenie się prawdzie potęgować musi gniew w duszach niemieckich. Cesarz Wilhelm już nie pojedzie do Paryża, już o podróżach do Francyi myśleć nie będzie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Bretanii wielka procesya przeciw rządowi z 30,000 dorosłych i 15,000 dzieci.

St. Rémy, skazany na 24 godziny aresztu przez sąd, został wydalony z armii przez ministra. Sąd zabawił się w politykę i nie uznał niesubordynacyi w nieusłuchaniu kilkokrotnego rozkazu gen. Fabre, komendanta dywizyi XXII. Niesubordynacya jest faktem i była też wykroczeniem podpułkownika, który teraz ma przed sobą otwartą karyerę Boulangera i dla narodowców może się stać łatwo mężem narodowym.

Pelletan z Ajaccio pojechał do Bizerty, przyszłej Kartaginy francuskiej. Sama ta przyszłość nastroiła go uroczyście. Powiedział dwie mowy: jedną w klubie republikańskim, drugą na bankiecie municypalności; druga była niepospolitą: Bizerta będzie Kartaginą, ale bez kartagińskiej zajadłości. Francuzi nie uważają całego morza Śródziemnego za francuskie, ale ta część, do której należą Bizerta i Korsyka, będzie francuską. Gdy Anglia trzyma Maltę i Gibraltar, Francya nie może otwierać wrót do siebie. Nie chce ona walki ani z Anglią, ani z Włochami, ale obowiązkiem jej będzie wojna święta za ojczyznę. Kiedy w końcu XIX w. barbarzyństwo starej Germanii sprowadzało klęskę na Francyę, prawo kaduka wracało na świat i świat też cały był wówczas pod panowaniem zasady: siła przed prawem. „Winniśmy wytężyć wszystkie siły dla przestrzegania nietykalności dwu potęg świata: sprawiedliwości i cywilizacyi, którym hołduje geniusz francuski.“

Szczerość taka była dotkliwą dla Włoch, dla cesarza Wilhelma i jego Niemców, dla Francuzów dyplomatyzujących — dla dziennikarzy wreszcie, udających wielką mądrość polityczną. Jest coś niezwykłego w takiem tasowaniu kart nad stołem, gdy zwykle w dyplomacyi tasuje się je pod stołem, a z fałszywemi już do gry przychodzi. Przewidywać wypadało i zażalenia włoskie i wyjaśnienia francuskie i burczenie niemieckie. Anglicy nie wzruszyli się wywnętrzeniem wcale. Gdy już Delcasse spełnił powinność, którą co do mowy w Ajaccio wziął na siebie sam Pelletan, wystąpił Combes, aby zapowiedzieć, że na przyszłość liczyć się należy tylko ze słowami odpowiedzialnego sternika rządu, tj. prezydenta rzeczypospolitej. Nie wymienił przytem ani Pelletana, ani Andrego, który w znanych swoich dwu mowach uderzył w ton niemiły Niemcom; ale ich tylko wystąpienia mógł mieć na myśli. Zjawiła się też zaraz zapowiedź dymisyi obu ministrów. Szkoda by ich było—bo obaj są dodatniemi siłami gabinetu: Andre dobry wydziałowiec, republikanin rzetelny i patryota szczery, Pelletan—bardzo potrzebny bastyon przeciw oportunizmowi, którego już zawiele było w tym republikańskim, a więc *de jure* i radykalnym rządzie.

P. Bülow z całą „Unverfrorenheit“ odpowiedział na powitanie od wiecu gdańskiego nadzieją, że wspaniałe dni cesarskie w Poznaniu dodadzą Niemcom na kresach „bodźca“ i zjednoczą ich pod jednym sztandarem. Wtedy też świadoma celu i silna polityka kresowa zyska trwałą podstawę.

Urzędownie doniesiono z Berlina, że cesarz Wilhelm w Poznaniu do oficerów cesarsko-rosyjskich odezwał się o Rosyi jako o sąsiedzie, którego życzliwości może być na długie, dalekie czasy pewnym. Właśnie ta pewność nakazała jemu, cesarzowi, zarządzić zniesienie fortyfikacyj poznańskich. Pewność jest jego własnym obrachunkiem logiczno-psychologicznym, ale fortyfikacye w jego mowie nie są fortyfikacyami w jego rozkazie. Zostaną jeszcze Winiary, zostaną i inne też obwarowania. Zresztą, Poznań może się nie nadawać na fortecę. Nie wolno czynić cnoty z konieczności.

Węgry obchodziły d. 19 b. m. setną rocznicę urodzin Ludwika Kossutha. Była to uroczystość nietylko przeciw-dynastyczna, ale i przeciw-austryacka. Dlatego też ministrowie węgierscy urzędownie nie występowali ani w przygotowaniach, ani w dyalogu. Grając na piszczałce niezależności, nie zgłuszą Węgry tego ponurego burdonu, którym ich powita przyszłość w razie nierozważnej, pacholąt, ale nie mężów stanu godnej gry na ostre z Austryą. Niech pomyślą, coby się z nimi stało, gdyby Austryi nie stało! Co do Kossutha, zapewne był patryotą, ale nie był mężem dzielnym, jakiego naród potrzebował; pod koniec wojny rad był wycofać się z ognia i wycofał się też — i zostawił miejsce dla Görgeya. W Ameryce uroczystość żywo odczuto. Przypomniano świetne przyjęcie, zgotowane Kossuthowi po wyrzuceniu go przez Austryę z Turcyi azyatyckiej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Sześć wystaw jednocześnie.— Znaczenie wystawy wileńskiej — Stowarzyszenia prowincyonalne i hygiena. — „Unormowanie“ dnia roboczego i praca nieletnich w handlach win i delikatesów. — Posiedzenie komitetu rolniczego.

Od kilku tygodni słońce wstąpiło u nas w znak wystawy. Warszawa popisuje się dwiema odrazu: kucharsko-spożywczą w Dolinie Szwajcarskiej, gier i zabawek na Dynasach, a jednocześnie zajmuje się żywo ukończoną świeżo wystawą wileńską i co najmniej czyta korespondencye z prowincyonalnych pokazów rolniczo-przemysłowych w Berdyczowie, Winnicy i Kamieńcu Podolskim. Więc też człowiek pełnoletni, który osobiście lub *per procura*, przez krewnych i przyjaciół, nie brał i nie bierze udziału w żadnym z tych sześciu popisów, sam niemal mógłby się dziś pokazywać, jako okaz rzadki, a jeśli przytem na swe nieszczęście jest rolnikiem, przemysłowcem, restauratorem lub właścicielem sklepu zabawek, niech się nie waży wychodzić na ulicę bez rumieńca wstydu na obliczu.

Z tych sześciu turniejów, urządzonych prawie równocześnie w bliższem lub dalszem sąsiedztwie wzajemnem, najdonioślejsze znaczenie społeczne ma oczywiście wystawa rolniczo - przemysłowa w Wilnie. W tym roku różniła się ona znacznie od poprzedniczek swoich, otwieranych co dwa lata (począwszy od r. 1882) z inicyatywy miejscowego towarzystwa wyścigów konnych. Dotychczasowe wystawy wileńskie według świadectwa *Gaz. Rolniczej*, służyły raczej za popis dla niektórych tylko gospodarstw i za pretekst do zabaw dla

---

2)

Selma Lagerlöf.

INGMARSONOWIE.

Ingmar uśmiechnięty szedł za pługiem, posuwającym się teraz zwolna za zmęczonymi końmi. Kiedy doszedł do rowu, ściągnął cugle i zatrzymał się.

— Dziwna rzecz, gdy człowiek poradzi się, to już z samego zapytania wynika, gdzie jest słuszność i odnajduje się to, czego się szukało całe trzy lata. Niech się teraz dzieje wola boża.

Czuł, że musi to zrobić, a jednocześnie wydawało mu się to tak ciężkiem, że tracił odwagę na samą myśl o tem.

— Boże, wesprzyj mnie! — zawołał.

Tymczasem nietylko Ingmar Ingmarson był tak wczesnym rankiem na nogach. Ścieżką, wijącą się pomiędzy polami, szedł sobie stary człowieczyna. Nietrudno było poznać jego zawód, bo na ramieniu niósł długi, czerwono zabarwiony kwacz, a od stóp do głowy pokryty był plamami z farby. Oglądał się pilnie wokoło, jak każdy wędrowny malarz, czy nie znajdzie się jaki niepomalowany jeszcze albo spłowiały dom. Widział już niejeden taki, ale nie mógł się zdecydować, aż wszedłszy na mały pagórek, zobaczył na dnie doliny potężnie rozsiadłą Ingmarowszczyznę.

— To mi przynajmniej robota! Dom mieszkalny niemalowany od stu lat, a budynki gospodarskie nigdy nie widziały farby. A co ich jest! Będzie zajęcie do jesieni! — myślał uradowany.

Po chwili spostrzegł orzącego wieśniaka. Ten chłop tu osiadły musi znać całą okolicę. Od niego dowie się, czego mu potrzeba o tej tam zagrodzie. Zboczył z drogi, wszedł na ugor i zapytał Ingmara, do kogo należy ta duża zagroda i czy sądzi, że chcianoby ją odmalować na nowo. Ingmar Ingmarson drgnął, wpatrując się w malarza, jakby ten był duchem.

— Boże, że też on przychodzi właśnie teraz! — myślał i ze zdziwienia nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

Przypomniał sobie doskonale, że ile razy mówiono do ojca: „Powinieneś kazać pomalować ten swój duży, szkaradny dom,“ starzec odpowiadał zawsze, że to się zrobi, gdy Ingmar będzie się żenił. Malarz ponowił zapytanie, lecz Ingmar milczał, jak gdyby nie rozumiał, o co chodzi.

— Czy oni nareszcie namyślili się tam w niebie, czy to ma być znakiem od ojca, żebym się żenił w tym roku?

To go tak uderzyło, że bez namysłu obiecał malarzowi robotę u siebie. Chodził za pługiem głęboko wzruszony, niemal szczęśliwy. „Zobaczysz, że to nie będzie tak ciężko, skoro wiesz napewno, że ojciec tak chce.“

II.

W parę tygodni potem Ingmar był zajęty czyszczeniem uprzęży, nie miał humoru i robota szła mu niesporo.

— Gdybym był Panem Bogiem — rozmyślał, szorując zawzięcie — tobym już tak urządził, że co zostało postanowione, to by się robiło zaraz. Ja bym tam nie dał ludziom czasu na długie rozmyślania, cofania się, zastanawiania nad przeszkodami. Ani bym myślał pozwolić czyścić szory i malować wózek, jabym ich pędził prosto od pługa.

Zaturkotało na drodze, spojrzał i zaraz poznał konia i bryczkę.

— Pan poseł z Bergskog jedzie! — zawołał do kuchni, gdzie krzątała się matka.

t. zw, „towarzystwa,“ nie miały jednak społecznej ani ekonomicznej doniosłości. Wystawa tegoroczna, urządzona po raz pierwszy przez niedawno założone towarzystwo rolnicze, była jednym z pierwszych objawów jego działania na szerszą skalę, a objąwszy gubernie Wileńska, Kowieńską, Grodzieńską, Mińską, Witebską, Suwalską i Kurlandzką, miała już charakter nie szczupłego popisu prowincyonalnego, lecz zestawienia działalności ekonomicznej całego kraju. Przez udział w wystawie (po za konkursem) wielu przemysłowców warszawskich i niektórych rolników z Królestwa Polskiego, znaczenie jej podniosło się jeszcze. Przedewszystkiem zresztą była ona obrazem gospodarki krajowej gubernij litewskich, łącząc w sobie, według wyrażenia p. W. Zaleskiego z *Kuryera Warszawskiego*, pokaz pracy rolnika i przemysłowca, zamieszkałych od wybrzeży Bałtyku po błota poleskie, od Bugu i Niemna do Dźwiny i Dniepru. Obszerny program wystawy uwzględniał głównie potrzeby rolnictwa, stanowiącego podstawę wytwórczości krajowej. Większość działów była z niem mniej lub więcej ściśle związana (nasiona, uprawa roli, nawozy, melioracye itd.; hodowla koni, bydła, trzody chlewnej i drobiu; gospodarstwo mleczne w zakresie najszerszym; narzędzia i maszyny rolnicze; sadownictwo, ogrodnictwo i kwiaciarstwo; pszczelarstwo, jedwabnictwo i myśliwstwo, hodowla ryb, leśnictwo, budownictwo rolne, rzemiosła i przemysł domowy itd.).

Rolnicy litewscy nie zawiedli naogół oczekiwań. Liczny ich udział w wystawie pozwolił stwierdzić znaczny postęp zarówno we właściwem gospodarstwie rolnem, jak również w związanych z niem działach przemysłu, zwłaszcza zaś w dziale leśnym i nabiałowym. „Niezbędny do niedawna pachciarz — pisze cytowany już przez nas p. Zaleski — przechodzi na Litwie do historyi.“ Sprzedaż mleka jest bardzo utrudniona, lecz mało kto już dba o nią, bo nawet po mniejszych folwarkach zabrano się do wyrobu serów, nieustępujących częstokroć sprowadzanym dotąd z zagranicy, albo też gospodynie sprzedają masło, a odpadkami, pozostającymi przy jego wyrobie, karmią trzodę chlewną. Niemniej godnym uwagi był na wystawie dział przetworów owocowych, przynoszących znacznie większe dochody, niż sprzedaż owoców w stanie naturalnym. Na podniesienie zasługuje wreszcie bezstronność wileńskiego Towarzystwa rolniczego w tworzeniu delegacyj sędziowskich, do których powoływano przeważnie specyalistów i znawców z pośród gości z dalszych okolic, a ci, niezwiązani stosunkami znajomości lub pokrewieństwa z wytwórcami, kierowali się tylko przy wyznaczaniu nagród istotną wartością okazów. Po za ściśle ekonomicznem, wystawa wileńska miała i pod innymi względami znaczenie poważne, pozwalając urządzić szereg pogadanek i zgromadzeń publicznych i służąc celom wzajemnego poznania się i zbliżenia.

Mimo głosów pesymistów, twierdzących z zasady, że na prowincyi nic udać się nie może, pisma z różnych stron kraju przynoszą coraz częściej pożądane zawsze wiadomości o postępującym wciąż rozwoju życia zbiorowego i samopomocy. Oto znowu *Gazeta Kielecka* donosi o utworzeniu się towarzystwa wzajemnej pomocy przemysłowców, rzemieślników i kupców kieleckich w celu udzielania członkom wsparć i pożyczek, wyszukiwania zajęcia tym, którzy je utracili nie z własnej winy, dostarczania pomocy lekarskiej, a w razie śmierci urządzania pogrzebu. Członkami rzeczywistymi Towarzystwa (3 rb. wpisowego i 6 rb. składki rocznej) mogą być czeladnicy, terminatorzy i subjekci handlowi, właściciele zaś zakładów przemysłowych i sklepów mogą być tylko członkami-protektorami, bez prawa otrzymywania pożyczek i wsparć. Świeżo również zatwierdzona została ustawa kasy oszczędności, zawiązującej się w Łodzi przy akcyjnem Towarzystwie wyrobów bawełnianych Ludwika Geyera, a w Tomaszowie Rawskim przy nowo-założonem Towarzystwie dobroczynności powstaje ochrona dla chłopców i dziewcząt. Lecz ogólniejsze i może nawet donioślejsze znaczenie mieć będzie zapewne wiadomość o zatwierdzeniu przez władze instrukcyi dla trzech oddziałów Towarzystwa hygienicznego, które mają być utworzone w Lublinie, Łodzi i Częstochowie. Kto zna choć trochę rodzime nasze brudy, niezakryte kanały i wszelkiego rodzaju zbiorowiska śmieci w miastach powiatowych, a nawet gubernialnych, ten nie będzie miał chyba wątpliwości, że oddziały Towarzystwa hygienicznego znajdą tam pracy niemało i niejeden cel ważny do osiągnięcia, zwłaszcza że działalność każdego z nich rozciągać się ma na całą gubernię.

Komisya z łona zgromadzonych kupców, której powierzono rozpatrzenie wniesionej przez pracowników handlowych sprawy ograniczenia dnia handlowego, ukończyła już, jak donosi *Gaz. Polska*, swą pracę i, jak zwykle, załatwiła rzecz—połowicznie. Czas obowiązkowego przerywania handlu i zamykania sklepów oznaczony być ma na godzinę dziewiątą (nie ósmą, jak pragnęli pracownicy), lecz i od tej „normy“ ma być czyniony wyjątek dla sklepów z artykułami spożywczymi i dla zakładów rzemieślniczych. W okresach przedświątecznych, ze względu na znaczny ruch handlowy, prawo trzymania sklepów otworem do 11-ej w nocy przysługiwać ma wszystkim handlującym. Tak więc w t. zw. handlach win i delikatesów wszystko zostanie po dawnemu, i małoletni chłopcy sklepowi jak dotąd pracować będą po 16 godzin na dobę, kiedy dla dorosłych mężczyzn samo prawo określa dzień roboczy na godzin dziesięć. Warto przy tej sposobności przypomnieć ciężkie warunki pracy tej kategoryi pracowników, na które zwrócił niedawno uwagę p. Piotr Wilamowski w *Gońcu Handlowym*. „Najtwardszą szkołę — czytamy tam między innemi — przechodzą chłopcy w handlach win i delikatesów. Śpią, gdzie się zdarzy, najczęściej w brudnej komórce i wprost na podłodze, na trocinach lub słomiankach z butelek, jedzą również, co się zdarzy i najczęściej pomiędzy jedną posyłką a drugą, pomiędzy jednem pakowaniem a drugiem — prawie chodząc; ubierają się w schodzone i znoszone łachmany pryncypała i jego rodziny, brud z nich kapie, bywa im i chłodno i głodno, w dodatku bije ich kto chce i nie chce — pryncypał, jego żona, subjekci.“ Trudno się nie zgodzić z autorem, że wobec tego rozpaczliwego zaiste stanu rzeczy jedną z najpilniejszych potrzeb społecznych w tym kierunku jest oddanie nieletnich pracowników handlowych pod osłonę tych choćby praw, które regulują dzień roboczy dla małoletnich pracowników fabrycznych.

We środę 24 b. m. po południu odbyło się drugie posiedzenie warszawskiego gubernialnego komitetu rolniczego. Program zebrania obejmował głównie sprawę rozpowszechnienia fachowej wiedzy rolniczej oraz pomnożenia i ulepszenia stacyj doświadczalnych. Brak miejsca nie pozwala nam już przytoczyć ważniejszych postulatów, postawionych przez to zebranie, lecz do tej ważnej sprawy powrócimy jeszcze w numerze przyszłym, gdy będziemy już mieli wiadomość i o następnem posiedzeniu komitetu.

Święcic.

Natychmiast usłyszał, jak dorzuciła drew do pieca i jak młynek do kawy zawarczał. Poseł zajechał na dziedziniec, ale nie wysiadał z bryczki.

— Nie, nie będę wstępować, chciałem tylko pomówić z tobą parę słów, Ingmarze; nie mam czasu, spieszę do urzędu gminnego na wybory.

— Matka chciałaby poczęstować — odezwał się Ingmar.

— Dziękuję, ale dla mnie czas drogi.

— Pan poseł dawno tu nie był, bardzo proszę — nastawał Ingmar.

Matka wyszła za próg i pomagała mu.

— Przecież pan poseł nie odmówi filiżanki kawy.

Ingmar odpiął fartuch, a poseł zaczął poruszać się.

— Ha, jeżeli matka Marta sama zaprasza, to trzeba być posłusznym.

Był to wysoki, przystojny chłop, poruszający się żwawo, z zupełnie innego rodzaju ludzi, niż Ingmar i jego matka, których postacie były brzydkie i ociężałe. Miał jednak wielki szacunek dla starego rodu i chętnie zamieniłby się powierzchownością z Ingmarem, żeby tylko być jednym z Ingmarsonów. Brał zawsze stronę Ingmara przeciw swojej córce i rad był tak dobremu przyjęciu. Po chwili, kiedy Marta weszła z kawą, poseł przystąpił do rzeczy.

— Chciałbym — zaczął i zająknął się — chciałbym porozumieć się z wami względem Brity.

Filiżanka w ręku matki Marty zadrżała, i nastąpiła przykra cisza.

— My sądzimy, że byłoby najlepiej wyprawić ją do Ameryki. — Zatrzymał się znów, czekając na odpowiedź. — Bilet dla niej już kupiony.

— Ale przyjedzie naprzód do domu? — spytał Ingmar.

— Nie, coby miała robić w domu?

Ingmar zamilkł znowu. Siedział z zamkniętemi prawie powiekami, jakby spał. Natomiast matka Marta zaczęła pytać:

— Czy zaopatrzona jest w ubranie?

— Wszystko w porządku, cała skrzynia napakowana czeka na nią w oberży Löfberga, gdzie zwykle zajeżdżamy.

— A matka pojedzie zobaczyć się z nią?

— Chce jechać, ale mnie się zdaje, że lepiej uniknąć spotkania.

— Może to i lepiej.

— Bilet i pieniądze złożone u Löfberga, tak że będzie miała, co tylko jej potrzeba. Myślałem, że należy zawiadomić o tem Ingmara, żeby nie brał nadal do serca tej całej sprawy.

Teraz zamilkła i matka Marta. Siedziała z opuszczoną głową, patrząc w fartuch.

— Ingmar powinien pomyśleć o innej żonie.

Obcje milczeli uparcie.

— Matka Marta potrzebuje pomocy przy wielkiem gospodarstwie, niech Ingmar postara się, żeby miała spokojną starość.

Poseł zatrzymał się, nie wiedząc, czy słyszą, co do nich mówi. — My z żoną naprawimy to wszystko — zakończył.

Podczas tej rozmowy serce Ingmara napełniało się wielką radością. Brita pojedzie do Ameryki, on nie potrzebuje żenić się z nią. Morderczyni nie będzie gospodynią w starej Ingmarowszczyznie. Milczał, bo wydało mu się nieprzyzwoitością dać zaraz poznać, jak go to cieszy, lecz teraz uważał, że trzeba przecież powiedzieć cośkolwiek. Poseł zamilkł także, bo wiedział, że tym ludziom należy dać czas do namysłu.

— Tak, Brita odcierpiała swoje, teraz przychodzi kolej na nas — odezwała się matka Ingmara, chcąc przez to powiedzieć, że jeżeli poseł żąda jakiej usługi od Ingmarsonów za utorowanie im drogi, to oni są gotowi, lecz Ingmar zrozumiał znacze-

Z nad Warty i Odry.

Poznańskie żyje wciąż jeszcze pod wrażeniem „dni cesarskich“ i mowy Wilhelma II. Znaczenie jej tłomaczone jest rozmaicie—stosownie do sympatyj politycznych różnych grup społecznych ludności polskiej; ale pomimo wszelkich sztuczek prestidigitatorskich obozu *Dziennika Poznańskiego*, większość zdobywa opinia, że mowa poznańska była uzupełnieniem logicznem malborskiej. Niepodobna było nie zauważyć, że jakkolwiek treść mowy poznańskiej mogła była zadowolić nawet najskrajniejszych hakatystów, to jednak *ton* tej mowy był inny, niż w Malborgu. Otóż właśnie ten ton wywołał „nieporozumienie“ nietylko w prasie polskiej, ale i w niemieckiej. Charakter tego „nieporozumienia“ jest jednak odmienny w obu obozach. Kiedy organy serwilizmu polskiego, reprezentowanego przez takich Stablewskich, Likowskich, Dzierżykraj-Morawskich, Łąckich itd., gotowe są odczuć w tonie mowy znak do tęsknie upragnionego zwrotu na prawo, prasa niemiecka szuka w nim zupełnie czego innego.

Oto np. *Kreuz Ztng*, organ konserwatywny, wyciąga takie wnioski z mowy poznańskiej: „...Cesarz wjechał do Poznania nie jako „zwycięzca“ i „zdobywca,“ lecz jako ojciec kraju, przynosząc wszystkim swym wiernym poddanym i dobrym obywatelom państwa, bez różnicy narodowości, równie uprzejme pozdrowienie. W odpowiedzi swej na przemówienie marszałka sejmu, barona Willamowitza, monarcha określił treść swej polityki w dzielnicach wschodnich jeszcze ściślej, zaznaczając, że dąży ona jedynie do zachowania państwu pruskiemu części spadku po królach dawniejszych, a nie do odebrania Polakom religii i narodowości. Cesarz nazwał kłamstwem i oszczerstwem przypisywanie mu takich intencyj ze strony przeciwnej.“ A więc „przez słowa cesarskie w Poznaniu osiągnęliśmy tyle, że żaden uczciwy przeciwnik nie będzie śmiał upatrywać w nas strony zaczepnej w walce rasowej na Wschodzie.“ W ten sposób konserwatyści skorzystali z mowy cesarskiej, ażeby przedstawić prusactwo w walce niewinnych baranków, pomawianych przez Polaków o największe zbrodnie.

Większa część katolickich pism centrowych stara się ze zwykłą logiką jezuicką z jednej strony zsolidaryzować się z cesarzem, a z drugiej tłomaczyć Polakom, że ta mowa była w gruncie rzeczy pojednawczą. Tak np. *Schlesische Volkszeitung* wmawia w publiczność, że mowa cesarska nie mogła zadowolić hakatystów z tego powodu, że niemieckie gazety katolickie godzą się z nią w zasadzie, a „faktem jest, że katolicy niemieccy z hakatystami nigdy się nie zgodzą“—jak gdyby wśród hakatystów nie było katolików, i jak gdyby księża katoliccy nie byli najzagorzalszymi germanizatorami.

Co się tyczy hakatystów, występujących otwarcie, bez katolickiej albo innej przyłbicy, to ci nie gubią się w żadnych obłudnych „nieporozumieniach.“ Główny organ hakatyzmu w Poznaniu, będący zarazem pismem półurzędowem, oświadcza stanowczo: „Przemowa cesarza w gmachu stanów zawiera nowe potwierdzenie kursu w polityce kresowej. Obawy, że kurs ten mógłby się zmienić, muszą zamilknąć wobec wynurzeń cesarskich. Główne zarysy polityki kresowej nie mogą uledz zmianie. Polega ona nietylko na silnej dłoni hr. Bülowa, ale i na woli cesarza. Z tem się muszą Polacy liczyć, muszą zostać prawymi Prusakami, jeśli nie chcą być oskarżeni o zdradę stanu. Układy i koncesye są wykluczone itd.“ Tak samo zapatruje się i *Kölnische Ztng*, główny organ szowinizmu pruskiego. Godzi się on całkowicie na wywody cesarskie i widać w nich potwierdzenie dotychczasowych zasad rządu, które nie mogły być unormowane bez woli i wskazówek cesarza. Nic to nie znaczy, że mowa nie uderza wprost na „polskich szczwaczy,“ jest ona dość stanowcza, aby zadowolić wszystkich prawdziwych patryotów pruskich. Mogą się z niej hakatyści tylko cieszyć.

Tej uciesze dali oni wyraz na swym zjeździe, który się odbył w Gdańsku z udziałem 12,000 uczestników. Władze miejskie powitały urzędownie zjazd hakatystów. Ogólne posiedzenie zagaił Kennemann, świeżo odznaczony w Poznaniu orderem i łaskawą rozmową z cesarzem. Kennemann zaznaczył, że pierwotnie, kiedy „Ostmarkverein“ dopiero się zakładał, władze nie były dlań życzliwe, podejrzewając w nim coś w rodzaju rządu pobocznego, jakiś aparat, mający na celu kontrolę nad rządem. Zwolna jednak pierwotna nieufność ustępowała. Ostatnie wypadki w Poznaniu mogą Niemców, członków związku hakatystów, napełnić zadowoleniem, gdyż dowiodły one, jak wielkie znaczenie ma związek. Cesarskie zaś słowa są dla hakatystów dowodem, że kroczą oni po drodze właściwej i że mogą być zawsze pewni poparcia monarchy.

Drugi z trójcy założycieli związku hakatystów, Tiedemann z Jeziorek, stwierdził znakomity rozwój działalności Towarzystwa, do którego niedawno właśnie zapisano szereg najświetniejszych nazwisk. Co do liczebnego wzrostu związku, to w ciągu ostatniego roku przybyło mu 4,700 członków — liczy więc ich obecnie 25,847. Na Górnym Śląsku powstało 13 grup miejscowych, tak że obecnie jest ich tam już 31 z 4,219 członkami. Połowę z nich tworzą katolicy.

Na wniosek dr. Bovenschena uchwalono rezolucyę poniższą:

„Nie ma się zakazywać Polakom, aby mówili między sobą po polsku, ale ponieważ nadużywają języka polskiego, jako środka walki przeciwko niemczyźnie, i ponieważ to leży w ogólnym interesie państwowym, aby każdy obywatel władał językiem niemieckim, wydział ogólny poleca rządowi środki następujące:

1) Znosi się w szkołach ludowych fakultatywną naukę polskiego czytania i pisania, gdzie to jeszcze istnieje.

2) Obowiązujące w Prusach Zachodnich przepisy, co do niemieckiego wykładu religii, rozszerza się na wszystkie dzielnice wschodnie.

3) Usuwa się fakultatywną naukę języka polskiego w wyższych zakładach naukowych.

4) Znosi się przepis, na mocy którego stypendyści, wspierani z funduszu dyspozycyjnego przez naczelnych prezesów, powinni nauczyć się języka polskiego.

5) Na wszelkich zebraniach, omawiających sprawy publiczne, wolno mówić tylko po niemiecku. Wszelkie sprawy urzędowe i publiczne załatwiane są w języku niemieckim.

6) O ile niektóre pisma polskie nie mogą być zupełnie usunięte, należy wydać przepis, aby każda gazeta polska była wydawana z przekładem niemieckim obok tekstu polskiego. W ten sposób wszyscy będą mogli zrozumieć prasę polską, i prasa niemiecka oraz naród niemiecki będą mogły wystąpić przeciwko jej podburzaniom i kłamstwom.

7) Na poczcie w obrębie Rzeszy niemieckiej jest wszędzie obowiązującem używanie języka niemieckiego. Przesyłki z adresem polskim są wykluczone. Znosi się biuro do tłomaczenia adresów na pocztach w Poznaniu i w Bydgoszczy.

W sprawie założenia uniwersytetu w Poznaniu zjazd uchwalił motywowaną rezolu-

---

nie tych słów inaczej. Drgnął, jakby budząc się ze snu.

— Co powiedziałby o tem wszystkiem ojciec! — pomyślał. Gdybym całą sprawę oddał pod jego sąd, co on by powiedział? „Nie myśl, żebyś mógł oszukać sprawiedliwość bożą— powiedziałby ojciec.—Niech ci się nie zdaje, że ujdziesz bezkarnie, jeśli dopuścisz, aby Brita sama znosiła ciężar winy. Jeżeli ją własny ojciec odpycha, żeby przypodobać się tobie i pożyczyć od ciebie pieniędzy, to ty idź jednak po drogach Pańskich, młody Ingmar Ingmarsonie.“ Wiem, że ojczysko czuwał nade mną w tej sprawie, niezawodnie przysłał tu ojca Brity, aby mi pokazać, jak obrzydliwie jest chcieć zwalić wszystko na nią, biedaczkę. Musiał widzieć, że w ostatnich dniach nie miałem wielkiej ochoty tam jechać.

Ingmar wstał, nalał koniaku do kawy i podniósł filiżankę.

— Dziękuję panu posłowi, że przyjechał tu dziś“ — przemówił, trącając się z gościem.

III.

Całe przedpołudnie Ingmar majstrował z brózkami przy ganku. Ustawił naprzód rusztowanie, a potem, pochwyciwszy za wierzchołki, nagiął je do siebie tak, że utworzyło się sklepienie. Drzewa opierały się operacyi i raz za razem wyrywały mu się z rąk.

— Cóż to z tego będzie? — spytała matka Marta.

— A nic, niech sobie tak porosną jakiś czas.

Nastało południe. Po obiedzie robotnicy poukładali się na dziedzińcu do spoczynku. Ingmar Ingmarson spał także na szerokiem łóżku w komorze przy świetlicy. Czuwała tylko gospodyni, haftując w dużej izbie. Po jakimś czasie drzwi od sieni otworzyły się powoli i weszła stara kobieta z dwoma koszami. Pozdrowiła cichym głosem, usiadła na stołku przy drzwiach i, nie mówiąc ani słowa, podniosła pokrywy koszów. Jeden z nich był napełniony sucharkami i obwarzankami, drugi — świeżemi, rumianemi bułkami. Gospodyni rozpoczęła zaraz targ. Potrafiła zwykle ściskać grosz, lecz miała słabostkę do dobrych rzeczy przy kawie. Wybierając między bułkami, wdała się w rozmowę ze starą, która, chodząc od zagrody do zagrody i znając dużo ludzi, miała zawsze spory zapas nowin.

— Ty, Kajsa, jesteś mądrą kobietą, tobie można zaufać— mówiła Ingmarsonowa.

— O tak, żebym nie umiała milczeć, to by się już wielu wzięło za czuby

— Ale czasami milczysz niepotrzebnie, Kajso.

Stara spojrzała i odgadła w lot, o co chodzi.

— Prawda, jak mi Bóg miły! Mówiłam z panią posłową z Berkskog, a trzeba mi było przyjść do was.

— Tak, mówiłaś z panią posłową?— nieskończona pogarda brzmiała przy wymawianiu tych ostatnich słów.

Ingmara zbudziło skrzypnięcie drzwi od świetlicy. Nikt nie wszedł, ale drzwi pozostały uchylone. Nie wiedział, czy same się otworzyły, czy je kto otworzył. Zaspany jeszcze, leżał spokojnie i przysłuchiwał się rozmowie w drugiej izbie.

— Powiedz mi teraz, Kajso, jakim sposobem zmiarkowałaś, że Brita nie lubi Ingmara?

— To się widziało odrazu, ludzie mówili, że rodzice ją przymusili.

— Mów bez ogródek, Kajso, zniosę wszystko, cokolwiek byś mi powiedziała.

— To tak: ile razy przychodziłam do Bergskog, zawsze była zapłakana. Raz, kiedyśmy same były w kuchni, powiedziałam do niej: „Pięknie wychodzisz za mąż,

cyę, której główne ustępy brzmią: „Niemieckie Towarzystwo kresów wschodnich oświadcza się w sposób najbardziej stanowczy przeciw założeniu akademii albo uniwersytetu w Ks. Poznańskiem. Według jednomyślnego zdania, zakład akademicki w obecnych stosunkach sprzeciwiałby się wprost usiłowaniom, zmierzającym ku popieraniu niemczyzny... Zamiast krzewić kulturę niemiecką, akademia w Ks. Poznańskiem stałaby się ogniskiem trwałego wzburzenia politycznego i przyczyniłaby się tylko do zaostrzenia przeciwieństw obecnych.“

Wpływ organizacyi hakatystycznej jest obecnie tak silny, że z jego żądaniami musi się liczyć i liczy się istotnie na każdym kroku rząd pruski. Być może, że to, co dziś samym hakatystom wydaje się jeszcze marzeniem, za lat kilka stanie się faktem, że np. pisma polskie będą zmuszone do wydawania przekładu tekstu. Na razie jednak nie słychać o tem, ażeby podobny projekt był traktowany w sferach urzędowych na seryo, natomiast władze pruskie starają się ustawicznemi szykanami zgnębić zupełnie prasę ludową. Pisma takie, jak *Gazeta Robotnicza*, *Gazeta Polska* w Zaborzu, *Praca* p. Biedermanna wciąż są narażone na procesy, a ich wydawcy i redaktorowie na więzienie. Nie mogąc wytępić polskiej prasy miejscowej, rząd pruski zabrania z kolei wstępu najrozmaitszym pismom polskim, wychodzącym poza obrębem Niemiec, kierując się nie tendencyą tych pism, tylko tem, że są wydawane w języku polskim. Zakazano więc na przeciąg dwóch lat ultralojalny *Czas* krakowski obok liberalno-opozycyjnej *Nowej Reformy*, socyalistyczny *Naprzód* obok organu namiestnika galicyjskiego, *Gazety Narodowej*, ultranarodowy *Przegląd Wszechpolski* obok *Kraju* petersburskiego. Władze pruskie opierają się na tej zasadzie, że pismu zagranicznemu skonfiskowanemu trzy razy w Prusach, może być odebrany debit pocztowy na przeciąg dwóch lat. Ponieważ zaś obecnie niema z pewnością ani jednego pisma polskiego, któreby nie występowało przeciwko gwałtom pruskim, przeto władze mogą je wszystkie zakazać.

Do niedawna uwaga szowinistów niemieckich była zwrócona prawie wyłącznie na Poznańskie i Prusy Zachodnie, upatrując w polskiej ludności tych dwóch prowincyj źródła niebezpieczeństwa dla Niemiec. Tymczasem rozwój świadomości narodowej na Górnym Śląsku, postępujący w ostatnich czasach tak szybkim krokiem, zaczyna coraz bardziej niepokoić szowinistów niemieckich. Niedawno wrocławski *General-Anzeiger* pomieścił obszerny artykuł wstępny p. t. „Das Vordringen der Polen in Oberschlesien,“ w którym wykazuje, że i na Górnym Śląsku Polacy wykupują ziemię z rąk niemieckich, że po miastach górnośląskich w zatrważający sposób mnożą się polscy właściciele domów, że coraz pomyślniej rozwija się handel i przemysł polski, o czem świadczy otwieranie nowych warsztatów, składów kupieckich, spółek spożywczych itp. Dawniej — skarży się *Generalanzeiger* — rzadko tylko można było spostrzedz szyld polski, dziś znaków tych jest bez liku.

Istotnie, nie da się zaprzeczyć, że wszystko to jest prawdą, o czem świadczy chociażby doskonały rozwój siedmiu t. zw. banków ludowych, założonych w ciągu kilku lat ostatnich w Bytomiu, Katowicach, Siemianowicach, Gliwicach, Opolu, Rybniku, Raciborzu. Obok nich w październiku r. 1900 powstała w Bytomiu „Spółka parcelacyjna, której celem jest zakupywanie gruntów, domów itp. nieruchomości i odprzedawanie ich swym członkom częściowo lub w całości. Spółka ta, pomimo tak krótkiego istnienia, wykazuje dość znaczne rezultaty. W dniu założenia posiadała ona 12 członków z 12 udziałami, obecnie zaś liczy 54 członków ze 121 udziałami. Nabyła już 7 mniejszych i większych posiadłości od Niemców. Niedawno kupiła ona dość znaczny majątek Zaolszany w powiecie tosko-gliwickim, z powodu czego szowinistyczne gazety niemieckie uderzyły na alarm.

Co prawda, to do alarmu szowiniści posiadają coraz więcej powodów. Oto naprzykład *Statistische Korenspondenz* ogłosiła artykuł, opracowany na podstawie statystyki szkolnej z r. 1901, z którego wynika, że język niemiecki nietylko nie szerzy się wśród Polaków pruskich, ale nawet stopniowo zanika. Albowiem w r. 1886 dzieci, mówiących po niemiecku w domu, było w Prusach 86,58%, w r. 1896 — 86,29%, w 1901 — 86,2%. Ponieważ po dzieciach niemieckich w szkołach pruskich jest najwięcej polskich, przeto różnica obserwowana przypada na wzrost dzieci polskich, gdyż liczba dzieci, mówiących w domu po serbsko-łużycku, litewsku i duńsku, stale zmniejsza się na korzyść niemieckich.

Mają hakatyści zmartwienie nietylko z takich powodów, bo oto pokazuje się, że nawet koloniści niemieccy, sprowadzeni przez komisyę, dopuszczają się strasznej zdrady. Na kolonii Niemczyn, zamieszkanej przez kolonistów-Niemców z Galicyi, panuje język polski, gdyż i koloniści mówią nim zupełnie dobrze i bynajmniej nie dają się nastraszyć groźbami kary ze strony administracyi. Mało tego, chodzą po sprawunki nie do Niemców, lecz do Polaka-właściciela sklepu kolonialnego i rzeźnika.

Prawdziwą sensacyę wywołało przejście w polskie ręce olbrzymiej posiadłości — Wielkie Jawty—w powiecie suskim w Prusach Zachodnich. Majątek ten, około 4,000 morg. obszaru, w bezpośredniem sąsiedztwie trzech miast, z doskonałą ziemią ze ślicznym pałacem, parkiem, wielką parową cegielnią, bogatym inwentarzem, lasem itd., uchodzi za jedne z najlepszych dóbr rycerskich w Prusach Zachodnich. Obecny właściciel p. Kazimierz Śląski zdobył je podstępem, gdyż zakupił ten majątek od hakatystycznego Landbanku podstawiony kupiec Niemiec. Dowiedziawszy się o tem Landbank, ofiarował natychmiast 80,000 marek, byle otrzymać majątek z powrotem, ale spotkała go odmowa.

Pośrednik.

Z Niemiec.

Berlin, 23 września.

Prokuratorowie sądowi, którzy radziby na świat cały spuścić za jego grzechy deszcz siarki i ognia, adwokaci, gotowi wśród oślepiających fajerwerków retorycznych uniewinnić go za sowitą zapłatę, i uczeni bakałarze prawa, którzy chcieliby go wtłoczyć w tysiące paragrafów i podparagrafów kodeksu, co im się dotychczas nie udało i prawdopodobnie nigdy nie uda — otóż ci wszyscy, ogółem tysiąc osób, zjechali się w zaprzeszłym tygodniu do Berlina na zjazd prawniczy. Prasa niemiecka pomijała dotąd takie doroczne kongresy pogardliwem milczeniem. Kogóż w istocie mogły obchodzić drobiazgowe spory prawników? Wszak od dawna już stracili oni stanowisko zaszczytne, jakie zajmowali ongi zarówno w Niemczech, jak w całej Europie, gdy z ich ust wydobywały się pioruny protestu w obronie ludu, gdy w parlamencie, w prasie i na wszystkich wybitnych posterunkach społecznych uwijały się setki adwokatów. Dawno już ogół przestał się nimi interesować i przypomniał sobie o nich dopiero z oka-

---

Brito!“ Spojrzała na mnie, jak gdyby myśląc, że z niej żartuję i odrzekła: „Niema co mówić, pięknie!“ A powiedziała to tak, że stanął mi w oczach Ingmar Ingmarson, który ładnym nie jest, chociaż nigdy przedtem tego nie zauważyłam, gdyż zawsze miałam wielkie poważanie dla Ingmarsonów. Ale tym razem nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Brita spojrzała znów na mnie, powtórzyła jeszcze raz: „Pięknie, bo pięknie!“ wybiegła do komory i słyszałam, jak zaniosła się od płaczu. Odchodząc, myślałam, że wszystko się jednak dobrze zakończy. Nie dziwiłam się rodzicom. Gdybym miała córkę, a Ingmar Ingmarson starał się o nią, to użyłabym wszelkich środków, żeby go przyjęła.

Ingmar, leżąc na łóżku, słuchał.

— To matka tak urządziła naumyślnie—rozumował — mój jutrzejszy wyjazd do miasta zastanawia ją. Matka podejrzewa, że jadę po Britę; matka nie wie, że jestem taki nędznik, iż nie mogę się na to zdobyć.

— Następnym razem widziałam się z Britą — ciągnęła stara — kiedy już przeniosła się tu na Ingmarowszczyznę. Nie mogłam się jej zapytać zaraz, jak jej się tu powodzi, bo było dużo ludzi w izbie, ale gdy tylko wyszłam, dopędziła mnie. „Słuchaj, Kajso, czy dawno byłaś w Bergskog?“ — „Byłam tam przedwczoraj.“ — „Ach, mój Boże, byłaś tam przedwczoraj, a mnie się zdaje, że nie byłam w domu całe lata!“— Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, każde moje słowo pobudzało ją do płaczu. „Możesz przecie pójść odwiedzić swoich.“ —„Nie, zdaje się, nigdy już nie ujrzę domu.“ — „Ale idź tylko, zobaczysz, jak tam ładnie, cały las pełen jagód, w porębach czerwienią się poziomki.“ — „Nie może być? — zawołała ze zdziwieniem — już są poziomki?“ — „A jakże, wyrwij się stąd na jeden dzień, skocz do domu i najedz się jagód do syta.“ — „Nie, lepiej dać pokój, byłoby mi tylko trudniej powrócić tu.“ — „Zawsze słyszałam, że dobrze jest u Ingmarsonów, to porządni ludzie.“ — „To najlepsi we wsi, poczciwi ludzie.“ — „Tak, wymusić sobie żonę nie uważa się za złe.“— „I mądrzy ludzie.“ — „Tak mądrzy, trzymają język za zębami.“ — „Nigdy nic nie mówią?“ — „A nigdy żaden nie powie więcej, niż potrzeba.“ Chciałam już iść dalej, ale przyszło mi do głowy zapytać: „A wesele będzie tu, czy tam w domu?“ — „Tu będzie, bo więcej jest miejsca.“ — „Patrz tylko, żeby nie zwlekać za długo ze ślubem.“ — „Pobierzemy się za miesiąc.“ Teraz miałam już iść na dobre, ale przypomniałam sobie, że Ingmarsonowie mieli złe żniwa, więc powiedziałam, że wątpię, aby w tym roku wyprawili wesele. „To się utopię!“ — odrzekła Brita. Po miesiącu usłyszałam, że wesele odłożone, pomiarkowałam zaraz, że coś będzie nie w porządku i poszłam do Bergskog pomówić z panią posłową. „U Ingmarsonów głupio się dzieje“ — powiadam. — „A niech się dzieje, jak im się podoba. My codzień dziękujemy Bogu, że tak dobrze pokierował naszą córką.“

— Matka niepotrzebnie zadaje sobie tyle trudu—myślał Ingmar — stąd nikt nie pojedzie po Britę. Ta bramka z brzóz niech matkę nie straszy, to tylko do wytłomaczenia się przed Panem Bogiem, że chciałem tak zrobić. Ale chcieć, a zrobić naprawdę—to dwie różne rzeczy.

(C. d. n.)

Tłom. ze szwedz. *F. Szukiewicz.*

zyi wprowadzenia w 1900 r. nowego kodeksu cywilnego. Pogodzenie przekazanych przez historyę ustaw prawnych z żądaniami ruchu społecznego i kobiecego, z potrzebami przemysłu współczesnego i z nowoczesnym indywidualizmem duszy ludzkiej było ostatnim wielkim czynem prawników niemieckich. I znów zapewne świat ich zapadłby w śpiączkę, podczas której śniłby o karyerze rządowej i dojnych klientach, gdyby nie szereg rozmaitych wypadków.

Po pierwsze przybył do Berlina profesor Liszt, mistrz kryminalistyki nowoczesnej, aby głosić tu z katedry nową naukę o determinizmie kryminalno-politycznym. W kołach prawników zawrzało. Jedni, bijąc pięścią o katedrę, wołali, iż kto nie wierzy w wolną wolę, ten, zamiast uprawiać kryminalistykę, powinien robić buty. Drudzy wystosowali list otwarty do bluźnierczej prasy codziennej, której, dopóki czas jeszcze, nim poszła na pokuszenie złych proroków, przypomniano świetne myśli szkoły klasycznej. Liszt, nie zrażając się atakiem, pracował dalej, wygłaszał odczyty, założył seminaryum kryminalistyczne, wydał wraz ze zwolennikami swej szkoły szereg cennych monografij i wreszcie w mowie, streszczonej na tem miejscu, rzucił stanowcze hasło reformy kodeksu karnego. Urok mistrza jaśniał coraz potężniej. Ankiety, przeprowadzone w więzieniach, za pomocą kwestyonaryuszów, niezliczone badania statystyczne nad małoletnimi przestępcami i recydywistami, nad związkiem między warunkami społecznymi a zbrodnią, wykazały całą bezskuteczność obecnego systemu karnego. Stwierdzało się na cyfrach i niezbicie udowodnionych faktach to, co już od dziesiątków, a bodaj czy nie setek lat, głosili wyśmiewani idealiści i marzyciele. Wychodziło na jaw, iż kara sama, nie połączona z pozytywną działalnością poprawczą i reformatorską, jest jadem, który wgryza się w organizm społeczny i zatruwa go; że sprawiedliwość, wymierzana na oślep i szablonowo, bez zaglądania do duszy ludzkiej i uwzględniania środowiska psychologicznego i społecznego, nie podnosi bynajmniej poziomu moralnego społeczeństwa. Spokojne, bezstronne i sumienne badania, oraz groźny wzrost zbrodniczości, nieustający po dzień dzisiejszy, wywarły tak głębokie wrażenie zarówno na ogóle, jak na przedstawicielach szkoły klasycznej, lubującej się w idei odwetu, zemsty i terroru, iż zaczęto się skłaniać do myśli o konieczności reformy kryminalistycznej. Koryfeusze szkoły klasycznej, z wyjątkiem Birkmeyera, przystali na propozycyę Liszta, zastrzegając sobie tylko prawo powoływania się na przesłanki własnego wyrobu, jako to: wolna wola, odwieczna sprawiedliwość, odwet itd. Ogłoszono zawieszenie broni i postanowiono zjednoczonemi siłami wstrząsnąć rząd w jego błogiej apatyi.

Niezależnie od tego wszczął się ruch, skierowany przeciwko zardzewiałej rutynie tradycyjnej postępowania karnego. Przedewszystkiem więc podano gruntownie w wątpliwość samą wartość zeznań świadków, jako środka dochodzenia prawdy. Dzielny psycholog młodszego pokolenia, Stern, zbadawszy olbrzymi materyał sądowy, doszedł do wniosków, które wywołały przerażenie wśród przeciwników. W pracy, pod względem metodologicznym bez zarzutu, wykazał on, jak mało sędzia może polegać na twierdzeniach świadków, jeśli będzie je zestawiał lub sumował bez dokładniejszego przyjrzenia się stanowi ducha świadczących. Nie chodzi tu wcale o fałszywość. Przeciwnie, tylko mała odsetka zeznań zasługuje na ten zarzut. Niewiarogodność ich płynie z innego źródła, z niemożności doraźnych a jednocześnie ścisłych spostrzeżeń, niezabarwionych domieszką chwilowego usposobienia i nastroju. Za pomocą doskonale obmyślanych doświadczeń, które wykonano z inicyatywy Sterna w szkołach i w uniwersytecie wrocławskim, udało się dalej udowodnić, że zdolność odtwarzania w pamięci przeżytych osobiście scen i wypadków, słabnie w prostym stosunku do prostoty organizacyi psychicznej. Z góry zatem można powiedzieć, iż połowa osób, osadzonych w więzieniu za krzywoprzysięstwo, została skazana niewinnie. W ślad za Sternem prof. Liszt przeprowadził w swem seminaryum w tym samym duchu doświadczenie, o którem również pisaliśmy w swoim czasie. W przedmiocie tym powstała już cała literatura. Ale jeszcze z innych powodów postępowanie karne Temidy dało powód do niezadowolenia i protestów. Swawola prokuratoryi niemieckiej przekroczyła dawno już miarę, nakreśloną przez interes państwa i społeczeństwa. Gdy chodzi zwłaszcza o obrazę najwyższych przedstawicieli władzy, wystarcza najbłahsza i najbezmyślniejsza denuncyacya do wytoczenia procesu i osadzenia w więzieniu najniewinniejszego człowieka. Wskutek tego zarówno prasa, jak literatura prawnicza, domagały się ostatecznego uregulowania spraw, dotyczących *laesae majestatis*, oraz skasowania lub uproszczenia całego postępowania pierwiastkowego, skrócenia czasu więzienia śledczego i nadania więźniowi szeregu praw, mających go zabezpieczać przeciwko zachciankom prokuratora. Wielki nacisk kładzie również prąd reformatorski na wyodrębnienie zakresu działalności policyi i żandarmeryi z dziedziny sądownictwa.

Jakkolwiek w mniejszym stopniu, niż prawodawstwo karne, i sądownictwo cywilne dostarczyło również materyału literaturze prawnej i ostatniemu zjazdowi. Obok żądania skrócenia i uproszczenia procedury, tak aby stała się przystępna dla ludu, nie gmatwając zbytnio sporów i pociągając za sobą mniejsze koszty, zaprzątały i zaprzątają jeszcze prawników trzy twarde do zgryzienia orzechy, przyniesione przez falę życia ostatniej doby. Są to: kartele, fotografie i samochody.

Zuchwalstwem wprost wydać się może, że prawnicy z własnego popędu, nie zasięgnąwszy przedtem w dostatecznym stopniu rady ekonomii politycznej, porwali się z motyką paragrafów na kartele. Te ostatnie mają sporo grzechów na swem sumieniu: podnoszą ceny krajowe swych wytworów, by je sprzedawać za pół darmo za granicą. Zwyżka cen na narzędzia, materyał surowy i półfabrykaty tamuje rozwój całego przemysłu. Wreszcie syndykaty kneblują usta pracownikom i narzucają im despotycznie swe warunki. Ale jakże temu wszystkiemu zaradzić?

Spór o to, czy można zdejmować jakąkolwiek osobę lub rozpowszechniać jej podobiznę bez własnego zezwolenia, jest wynikiem rozpowszechnienia amatorskiej sztuki fotograficznej, uprawianej szczególnie gorliwie przez reporterów. Datuje się on właściwie od czasu śmierci Bismarcka, kiedy jakiś sylf dziennikarski odfotografował ukradkiem postać jego na łożu śmiertelnem i rozprzedawał dziesiątki tysięcy fotografij. W celu przypodobania się spadkobiercom żelaznego księcia, policya skonfiskowała fotografie, a sądy niemieckie, włącznie z lipskim trybunałem Rzeszy, zatwierdziły krok ten, uzasadniając go w sposób bezmyślny. Odtąd prawnicy staczają zaciekłe boje polemiczne, nie doszedłszy zresztą po dzień dzisiejszy do żadnego wniosku w tej sprawie, dla szerokiego ogółu, zdaje się, dość obojętnej.

Daleko większą doniosłość posiada kwestya szkód, wyrządzanych przez samochody. Nastanie tego środka lokomocyi wywołało powszechnie niezadowolenie, czemu się zresztą dziwić nie należy. Jeśli dziś rzucimy okiem na sztychy z XVIII w., to uderzy nas niewątpliwie, jak często odtwarzane tu sceny przedstawiają mieszczan, gawędzących spokojnie, z fajką w ustach, na środku ulicy. Te czasy idyliczne bezpowrotnie dla ludzkości przeminęły. Po pierwsze przyszły koleje. Gdy jedni przywitali je z radością, inni widzieli w nich narzędzie szatana. Wydział lekarski w Würzburgu wypracował przeciw kolejom akt oskarżenia, a francuski minister Thiers domagał się międzynarodowej interwencyi przeciwko temu iście wandalskiemu wynalazkowi. Ruch w miastach europejskich ożywił się. Ulice zaroiły się od dorożek, powozów i wozów, tak iż urządzenie chodnika stało się koniecznością. Upłynęło lat kilkadziesiąt, uzyskały prawo obywatelstwe tramwaje, na ulicach ukazały się nadto bicykle. I znów powstał hałas. Zarządy policyjne wydały ostre przepisy przeciwko nieostrożnym cyklistom. Żądano nawet zakazów zupełnych i praw drakońskich. Ruch, wrogi bicyklowi, przybrał takie rozmiary, iż cykliści całych Niemiec byli zmuszeni utworzyć wielki związek obronno-prawny. Stopniowe jednak usposobienie względem bicykla zmieniło się, gdy zauważono, iż rumaka żelaznego dosiadają nietyle arystokratyczni próżniacy i sportsmeni, ile lud pracujący: robotnicy, subjekci handlowi i panny sklepowe, podążający do pracy albo powracający od niej. Bicykl okazał się zwłaszcza, dzięki udoskonaleniu techniki, znakomitym środkiem demokratycznym przewozu osobowego. Zaprowadzono tramwaje elektryczne—znów larum. Kamienicznicy ubolewali nad zeszpeconym widokiem ulic, lekarze skarżyli się na denerwujący wpływ szybkiej jazdy i paniki, panującej na ulicy za zbliżeniem się tramwaju elektrycznego, a laboratorya chemiczne — na szkodliwe działanie prądów. Gdy wreszcie statystyka wykazała, iż tramwaj pierwszego roku w Berlinie przejechał na śmierć około stu osób, podniósł się taki krzyk, iż musiano zwolnić znacznie tempo jazdy. Lecz dopiero samochody, pędzące z niewidzianą dotąd szybkością, ściągnęły na siebie prawdziwą burzę, zwłaszcza że arystokratyczni i plutokratyczni próżniacy, posługujący się nimi w sposób brutalny, przejeżdżali przechodniów i, nie troszcząc się bynajmniej o swe ofiary, umykali przed ręką sprawiedliwości.

Oto wiązanka spraw, które wypełniły porządek dzienny zjazdu prawniczego, wiązanka bogata i poważna, a nawet przewyższająca nieco siły kongresowiczów. Dwie sprawy odłożono wogóle do przyszłego roku: kazuistyczne zagadnienie prawa co do fotografii i klasową sprawę środków przeciwko kartelom. Przeciwnicy syndykatów poprzestali wprawdzie na skromnem żądaniu regestru kartelowego, oraz obowiązku peryodycznego ogłaszania sprawozdań z działalności. W ten sposób zarówno spożywcy, jak wytwórcy, mogliby częściej zaglądać swym wyzyskiwaczom do kart i zawczasu przedsięwziąć środki obronne. Lecz prawnicy woleli odroczyć decyzyę, niż uzbroić przeciwko sobie zrzeszoną magnateryę przemysłową. Co do samochodów, zaproponowano, aby właściciel każdego pojazdu był obowiązany wstąpić do osobnego związku, mającego ponosić odpowiedzialność za wszystkie szkody, wyrządzone przez swych członków. Projekt ten prawdopodobnie uzyska zatwierdzenie parlamentu i rządu.

Lecz epokową zasługę zjazdu stanowi uchwała w sprawie reformy kodeksu karnego i współczesnej procedury karnej. Gruntowny i piękny odczyt, wygłoszony przez koryfeusza szkoły klasycznej, prof. Kahla, w imieniu obu kierunków, tak oddziałał na obecnych, iż uchwalili rezolucyę znacznie ostrzejszą od tej, jakiej życzył sobie referent. Da się ona streścić w słowach: „Reforma kodeksu i procedury karnej jest potrzebą nicodzowną i niecierpiącą zwłoki.“ Rzecz oczywista, iż kodeks taki, który

ma być „przewartościowaniem wszystkich wartości“ prawnych, który ma przestępców małoletnich odsyłać do zakładów wychowawczych, neurasteników i alkoholików — do szpitali, a niepoprawnych lub zawodowych zbrodniarzy odosabniać, który ma zaprowadzić warunkowe skazanie, indywidualizować wymiar kary itd.—taki kodeks nie powstanie ni dziś, ni jutro. Samą pracę kodyfikacyjną musi poprzedzić szereg lat mozolnych badań statystyczno-kryminalnych i prawno-porównawczych. Jednocześnie nauka i naród muszą zabrać głos w tej palącej sprawie za pomocą wszelkich organów przedstawicielskich, które posiadają. Potem dopiero może ujrzeć światło dzienne to wielkie dzieło, którego pokolenia współczesne oczekują z niecierpliwością i tęsknotą.

H.

FEJLETON.

WOBEC HISTORYI.

Ulubionym tematem naszych poetów i dramaturgów był i jest do dziś dnia zatarg pomiędzy biskupem krakowskim Stanisławem Szczepanowskim a królem Bolesławem Śmiałym. Temat ten zajmował Słowackiego, Korzeniowskiego, a w czasach ostatnich Wyspiańskiego, Glińskiego, Lubeckiego. Zdaje się, że możnaby wypisać całą litanię utworów poetyckich i dramatycznych, osnutych na tej kanwie. Przypominam sobie z lat młodzieńczych fantazye nasze i spory, dotyczące tego wiekopomnego zatargu; jedne umysły szły za tak zwaną legendą, opromieniając człowieka, który został świętym narodowym, inne natomiast, bardziej postępowe i gorące, brały stronę króla, gdyż jakoby walczył z klerem, opierając się inwazyi reform Grzegorza VII. Wspominam owe dziecięce spory nie dlatego, iżbym się roztkliwiał nad ówczesną naszą mądrością, lecz dlatego, że prawie cały nasz ogół ukształcony, wychowany przeważnie na „Historyi“ Szujskiego, posiada równie migdałowy pogląd na tę sprawę, koniec końców bardzo ważną, nie wyłączając wszystkich poetów i wszystkich dramaturgów, którzy dzieje tego zatargu wyśpiewać chcieli.

Te obustronne iluzye rozwiewa dziś maleńka książeczka z teki pozgonnej dr. Maksymiliana Gumplowicza, wydana przez krakowską *Krytykę*. Pokazało się, do jakiego stopnia legendy mogą być legendami, lecz fabrykatami polityczno-kościelnemi, do jakiego stopnia intuicya poetów i dramaturgów może być zawodną i wreszcie do jakiego stopnia zarówno konserwatyści, jak postępowcy, mogą nie mieć racyi, gdy się spierają o historyę, a dokładnie jej nie zbadali. A wreszcie pokazuje się, że prawda jest lepsza, niż przypuszczają ostrożni konserwatyści i gorący postępowcy.

Streśćmy krótko rozprawę Gumplowicza.

Mylne jest mniemanie, jakoby chrześcianstwo zostało wprowadzone do Polski w drugiej połowie X wieku przez Dombrówkę i wskutek przyjęcia chrztu przez Mieszka I, gdyż daleko wcześniej dostało się do Polski z państwa Wielko-Morawskiego, gdzie je apostołowali Cyryl i Metody. Istniał tedy w Polsce obrządek słowiański. Napływ duchowieństwa łacińskiego z Czech i Niemiec w X i XI wieku wytworzył obrządek drugi, który z pierwszym stanął do walki, a popierał go Rzym, dążący do zjednoczenia swej władzy i swego wpływu. Reforma gregoryańska, zaprowadzająca bezżeństwo kapłanów, bezwarunkową zawisłość biskupstw od Rzymu, zwłaszcza w sprawach majątku kościelnego, zaognila zatarg kleru słowiańskiego z klerem niemiecko - włosko - francuskim. Bolesław Śmiały żył z Grzegorzem VII w stosunkach dobrych i popierał jego idee; natomiast na czele duchowieństwa słowiańskiego stał biskup krakowski Stanisław Szczepanowski, który nie poniósł męczeństwa w obronie kościoła rzymsko-katolickiego, ale, jak powiada Gumplowicz, „poniósł śmierć nie mniej męczeńską w obronie obrządku słowiańskiego i w obronie niezależności kościoła polskiego od kuryi rzymskiej.“ Śmierć jego była tryumfem dążeń przeciwnych, i niebawem reforma gregoryańska zwyciężyła na całej linii. Ale w żywej tradycyi ludu oporny Rzymowi biskup czczony był, jak święty. Tymczasem rozszerzał się w Europie kult świętych, popierany przez kuryę rzymską. Polska w połowie XIII wieku zapragnęła na wzór innych krajów mieć świętego narodowego. Nie wystarczał jej św. Wojciech, który był Czechem, ani św. Floryan. Pomyślano o kanonizacyi św. Stanisława, i w tym celu Kadłubek fałszuje, jak to wykazał Zeissberg, rocznik z XI w., zapisując pod rokiem 1079 historyę o Piotrowinie, przerobioną z Gisleberta Monteńskiego dość niezręcznie, następnie nieznany z imienia autor kreśli żywot św. Stanisława, wreszcie kapituła krakowska trzykrotnie zwraca się do Rzymu w latach 1250, 1251 i 1252 z prośbą o kanonizacyę biskupa Szczepanowskiego. Była to polityka sprytna, gdyż uznanie przez Rzym opornego ongi biskupa-słowianina dawało satysfakcyę moralną żywym tradycyom czci szlachetnego człowieka, a równocześnie zacierało wspomnienie sporu z kuryą rzymską i kładło koniec tradycyom obrządku słowiańskiego. Ale Rzym opierał się, gdyż ślady tego sporu istnieć musiały w rocznikach. Wydelegował tedy do Polski specyalnego legata Jakóba z Velettri, który otrzymał polecenie na piśmie zajrzenia do tych roczników. I zajrzał do nich, ale, jak powiada Gumplowicz, po nim nikt już więcej do nich nigdy nie zajrzał. Te, które się przechowały, pozują na autentyki według zgodnego mniemania wszystkich historyków. Tępiono wszystkie źródła, a szczególniej kronikę Galla, rzucającą pewne światło na sprawę; cudem zaledwie trzy egzemplarze ocalały, ale i z trzech jeden w naszych już czasach w niepojęty sposób zaginął.

Teraz już nic nie stało na przeszkodzie kanonizacyi. Wszyscy późniejsi kronikarze i historycy poczynają wiernego Rzymowi Bolesława czynić opornym, a opornego Rzymowi biskupa czynić temuż Rzymowi wiernym. Długosz opowiada o wybrykach Bolesława niemożliwe bajdy, w które, jako niepospolity umysł, wierzyć nie mógł. Każdy natomiast zbywa ogólnikami przyczynę zatargu, która musiała być ważną i nie mogła wynikać z niechęci osobistej. Zresztą kara przez rozsiekanie wymierzana była na zdrajców, Gallus z rzymskiego stanowiska nazywa biskupa „traditor,“ Szczepanowski z duchowieństwem swojem stał twardo przy obrządku słowiańskim, a wielka klątwa, która wtedy na Polskę spaść miała, dowodzi tylko, że aż takich środków musiał się imać Rzym celem przeprowadzenia reform swoich.

Tak przedstawia się sprawa w świetle ostatnich a bezstronnych dociekań historycznych. A teraz pytanie. Czy w tem oświetleniu postać biskupa nam maleje, czy rośnie? Bezwarunkowo rośnie. Idea Szczepanowskiego dźwiga się w dziejach Polski jeszcze niejeden raz; dała ona siłę i potęgę innym narodom, które umiały się nią przejąć i wprowadzić w życie; uchroniłaby nas ona od opłakanej epoki jezuityzmu, który zniszczył całą cywilizacyjną pracę epoki Zygmuntowskiej, szerzył katolicki kosmopolityzm, nietolerancyę, stawał w poprzek nauce, krzewił szlachecki arystokratyzm, podjudzał przeciw inowiercom i ogłupiał młodych, starych i kobiety.

A teraz po pracy Gumplowicza weźmy do ręki odpowiedni tom „Historyi“ Szujskiego. Może porównanie tych tekstów nakaże nam czytać tego historyka bardzo ostrożnie. Może też poeci nasi i dramaturgowie przejmą się niemniej tą ostrożnością, przypominając sobie zarazem piękną przestrogę Asnyka: „Szukajmy prawdy jasnego promienia...“

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK

Furya.

O pani Róży Luxemburg, chociaż wyszła z polskich Żydów i napisała broszurę zajmującą się naszym przemysłem — wielu czytelników zapewne nie słyszało. Jest to dziś najgłośniejszy bęben społecznej demokracyi niemieckiej, mistrzyni zabójcy prezydenta Stanów Zjednoczonych i kompozytorka marszów bojowych z nastrojem *furioso*. Dama ta staje do każdej licytacyi haseł radykalizmu i stara się przewyższyć wszystkich swoją krańcowością, a ściślej mówiąc — złością. Niejeden też sprawiła kłopot towarzyszom i nieraz próbowali oni ją brać na kiełzno. Ale to jest wewnętrzna sprawa partyi, której dotykać nie chcemy. Idzie nam bowiem o kwestyę bezpośrednio nas obchodzącą. Pani Róża Luxemburg wyobraziła sobie, że naród polski jest Martyniką, a ona wulkanem Mont Pelée, więc wyrzuca na nas ze swego gardła ogień, popiół i błoto z wyraźnym celem zagłady. Przedstawienie takiego wybuchu dała również na ostatnim wiecu społecznych demokratów w Monachium, gdzie ją także próbowano umiarkować — daremnie. Nie obawiamy się żadnych szkód od tego wrzaskliwego wulkaniku, który niedługo przejdzie do muzeum osobliwości i stanie obok Ludwiki Michel. Ale nie możemy powstrzymać się od zdziwienia, że taka solistka w epileptycznym tańcu jest poważnie traktowana przez wodzów stronnictwa i że jeden z nich, wybitny poseł demokratyczny do sejmu niemieckiego, poparł jej wniosek antypolski na zjeździe monachijskim. Dziwimy się zaś nietylko ze względu na jego stanowisko i związane z nim tradycye, ale ze względu na sam skutek uchwały, wywołującej walkę.

Zjazd syonistów.

Przez kilka dni obradował w Mińsku zjazd syonistów rosyjskich, który rozpoczął się gorszącym prologiem — obiciem korespondenta *Gazety Polskiej*, odsłaniającego w pismach warszawskich tajemnice agitacyi żydowskiej. Sam wiec — o ile wnosić możemy ze sprawozdań — był w części wrzaskliwą kłótnią, a w części porozumiewaniem się co do sposobów skuteczniejszego pompowania składek dla skarbu narodowego, które nie płyną z pożądaną obfitością (zwłaszcza w okręgu warszawskim). Czytelnicy znają nasze stanowisko wobec tego ruchu. Nie odmawiamy Żydom praw do utworzenia własnego narodu i państwa; nie pragniemy gwałtem wcielać ich w inne społeczeństwa, a więc i w nasze; nie mamy nic przeciwko temu, ażeby urzeczywistnili swoje marzenia, odzyskali Palestynę i do niej się wynieśli całą gromadą tęskniącą do utraconej ojczyzny; ale oświadczamy się stanowczo przeciwko ich robotom przygoto-

wawczym do tego celu na naszym gruncie. Dla nas ta sprawa ma donioślejsze znaczenie, niż dla społeczeństw posiadających słabą domieszkę Żydów. My mamy w swem wnętrzu ogromną ich masę, nieupodobnioną do nas, odmienną w swej istocie, kulturze i dążeniach. Jeżeli tę masę poruszą jeszcze za pomocą syonizmu siły rozkładowe, wrogie, wzmacniające jej odrębność, a nawet wrogość, wtedy znajdziemy się w poważnem niebezpieczeństwie, tem większem, że ów proces fermentacyjny może się utrwalić na setki lat i nie zakończyć nigdy emigracyą do Palestyny. Stworzy on nam groźną, chroniczną, wyniszczającą chorobę, wobec której stać będziemy bezwładni. Nie widzi tego tylko albo zaciekłe samolubstwo, albo dziecięca naiwność. Ta ostatnia ogarnęła naszą prasę, która wogóle trudno się oryentuje w kwestyach społecznych i z której jedna *Gazeta Polska* oświetliła ruch syonistyczny należycie.

Bajka Meneniusza Agryppy.

Towarzystwo Pracowników Handlowych przeszło jedną z tych charakterystycznych obywatelskich burz, które musi zażegnywać zawsze jakiś Meneniusz Agryppa opowieścią o członkach i żołądku. Stary Willy wiedział, iż od czasu do czasu dźwignie się ku głowie wielki palec u nogi, pytając: a jakże tam idzie robota? Koło takiego wielkiego palca zgromadziło się kilkanaście paluszków i podniosło alarm, że głowa Towarzystwa prowadzi instytucyę do ruiny. Musiano tedy zwołać ogólne zgromadzenie, temuż ogólnemu zgromadzeniu przypomnieć jego własne postanowienia, zatwierdzone przez niego budżety i kredyty, sprawozdania i plany. Zarząd, składający się z ludzi przez wiele lat wybieranych, doświadczonych i szczerze Towarzystwu oddanych, wyjaśnił palcom i paluszkom pracę głowy i żołądka. A wynik był istotnie efektowny. Ogólne zgromadzenie, zamiast uchwalić votum nieufności Zarządowi, udzieliło nagany gromadce palców i paluszków. W ten sposób broń wymierzona przez grupę intrygantów w pierś Zarządu, obróciła się przeciw tym, którzy ją hałaśliwie podnieśli. Istnieje jednak pewna różnica pomiędzy Meneniuszową bajką a „przebieraniem“ paluszków mniejszych Stowarzyszenia handlowców. Plebs rzymski był głodny chleba, natomiast paluszki Stowarzyszenia były głodne lepszego stanowiska, niż w cieniu buta, pragnęły zająć miejsce głowy i dążyły do tego, jak umiały, przez kłamstwo i oszczerstwo. Ale prawda wychodzi jeszcze niekiedy wzorem oliwy na wierzch. Paluszki musiały ze wstydem powrócić na swoje stanowisko do buta, gdzie podobno w dalszym ciągu zamierzają kiwać nad głowę, licząc na łatwowierność mniej świadomych rzeczy członków. Zdaje się jednak, że te „zacne dążenia“ przestaną dawać zatruty owoc, gdyż ostanie ogólne zgromadzenie rzuciło dostateczny snop światła na pobudki tych panów. *X.*

Dziwy kolejowe.

Niedawno rozstrzygnięta została w jednym z sądów pokoju sprawa, wytoczona przez zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej pasażerowi, który wsiadł do wagonu bez biletu w Brwinowie, a któremu kazano jako karę zapłacić podwójną należność za całą przestrzeń od „ostatniej stacyi kontrolującej,“ tj. od Granicy. Sędzia żądanie kolei oddalił, a doprawdy czas już wielki, ażeby podobnie dzikie pretensye raz na zawsze ustały. Przedewszystkiem administracya dróg żelaznych nie rozróżnia pasażera, który zakradł się tajemnie i *usiłował* przejechać bezpłatnie, od takiego, który *nie zdążył* kupić biletu, zgubił go lub wogóle nie posiadał skutkiem jakiejś pomyłki. A przecie zachodzi tu ogromna różnica, którą można pomijać dla uproszczenia kontroli, ale którą należy uszanować dla słuszności. Powtóre, dlaczego „ostatnią stacyą kontrolującą“ ma być zawsze krańcowa? Wyobraźmy sobie jakiegoś biedaka, który, naglony pilnym interesem, wpada na stacyę wraz z pociągiem, nie ma już czasu kupić biletu, więc siada do wagonu, gdzie go „łapią“ i każą płacić podwójną taksę za przejazd prawie całej linii. Jakie w tych wypadkach dzieją się nadużycia, świadczy fakt następujący: Ktoś, przybywszy za późno na jedną ze stacyj kolei Nadwiślańskiej i nie zdążywszy kupić biletu, *przed wejściem oświadcza* o tem nadkonduktorowi i kontrolerowi. Kontroler coś mruknął potakująco, wszedł za pasażerem do wagonu i... zażądał od niego biletu, poczem naturalnie ściągnął z „winnego“ karę, tj. podwójną należność od „ostatniej stacyi kontrolującej.“ Czy takie postępowanie da się uniewinnić jakimkolwiek względem sprawiedliwości, porządku lub interesu? Jeżeli to nie pułapka, to zwyczajny wyzysk, którego prawo nie tolerowałoby w żadnym innym wypadku. To też wszyscy znajdujący się w podobnych położeniach powinni odmawiać zapłaty i bronić się w sądzie, który — jak widzimy — nie uznaje „ostatnich stacyj kontrolujących,“ skoro nie widzi cech winy. Wogóle naszym kolejom należy się gruntowna reforma zarówno co do praw pasażerskich, jak taryfowych. Bo czy kto np. słyszał, ażeby gdziekolwiekindziej linia kolei obwodowej, okalającej miasto liczące 700,000 mieszkańców i łączącej kilka dworców, była dla ruchu osobowego zupełnie bezużyteczną i służyła tylko transportom towarowym? Czy kto słyszał, ażeby bilet za przejazd mniejszej przestrzeni (np. z Wawra do Nałęczowa) kosztował znacznie drożej, niż za przejazd większej (np. z Warszawy do Nałęczowa)? Czy kto słyszał, ażeby opłata za przejechanie tej samej przestrzeni (np. od Warszawy do Rejowca) była znacznie mniejszą przy dwukrotnem kupieniu biletu (np. w Warszawie i w Lublinie), niż przy jednorazowem? O tych i tym podobnych dziwach nikt w Europie nie słyszał i z pewnością by im nie uwierzył. A my je uważamy za naturalne warunki podróży i jesteśmy zadowoleni, jeśli znajdziemy w wagonie miejsce. Bo i do tego kolej, sprzedawszy bilet, wcale się nie zobowiązuje.

Zjedzona wystawa.

W kraju, gdzie zabawy towarzyskie bez „gorącej kolacyi“ są przedmiotem ogólnego pośmiewiska; gdzie wszelkie wycieczki zbiorowe zaczynają się od „zdobywania bufetu“; gdzie zamożni ludzie tracą ogromne majątki w restauracyach; gdzie przepracowanie żołądków należy do najzwyklejszych chorób; gdzie 90 na 100 mieszkańców cierpi głód, ażeby 10 mogło cierpieć niestrawność — w takim kraju wystawa kucharsko - spożywcza musiała wywołać głębokie wzruszenie. I to nie jako spożywcza, ale jako kucharska. Bo co my wytwarzamy w tej gałęzi przemysłu, czy nasze produkty mogą stanowić obfite źródło naszego bogactwa i współzawodniczyć z zagranicznymi, słowem ekonomiczna strona zagadnienia, która jedynie nadawała wystawie sens i wartość, zeszła na plan drugi. Na pierwszym stanęły pasztety, majonezy, bażanty i inne smakołyki, które można było nietylko oglądać, ale jeść. I rzeczywiście w tym kierunku okazaliśmy wielkie mistrzowstwo produkujące, a nadewszystko konsumujące. Kucharze stworzyli podobno arcydzieła, a 700 osób, które przyszły je podziwiać w pierwszym dniu otwarcia, zjadło dania przygotowane dla 1,200! Herkulesi jakuccy! Zdechły koń, wyciągnięty na błonia, dokąd podążyły na ucztę wszystkie domowe i dzikie mięsożerce, nie składa nazajutrz swym ogryzionym szkieletem wymowniejszego świadectwa apetytu biesiadników, jak wystawa kucharska po tym pierwszym dniu „kosztowania.“ Przerażony tem spostrzeżeniem zarząd już nie odważył się na drugą próbę i pozwolił jeść okazy tylko oczami. Tydzień podobnych prób doprowadziłby go do bankructwa. Po za tą lekcyą poglądową wystawa nauczyła nas niewiele. Jak zwykle, wszyscy jej uczestnicy zostali nagrodzeni lub wyróżnieni, a grad medalów, dyplomów i zaszczytnych wzmianek zasłonił różnice pomiędzy produktami i nie pozwolił wynurzyć się jasno tym, które stanowią istotnie wartościowy dorobek. Zresztą może handel, patrzący krytycznem okiem, wydobył rzeczy godne rozpowszechnienia, rozumie się nie z kucharskich półmisków, ale z półek spiżarnianych.

W końcu uwaga, którą już zrobiono w jednym z dzienników. Czy sędziowie wystawy, nie poprzestając na jej okazach, nie zechcieliby pofatygować się do kuchen mistrzów, którzy ich zadziwili swoją sztuką? Może wtedy dla niejednego zamiast dyplomu uznania napisaliby raport policyjny. A w każdym razie nie ulega wątpliwości, że pomiędzy tem, co zjedzą sędziowie na wystawie, a co je publiczność w restauracyach, zachodzi znaczna różnica.

Kara na niewinnych.

Jest to faktem powszechnym, że ludzie źli wpływają na układ warunków życia ludzi dobrych. Gdyby np. nie było złodziejów, nie byłoby kłódek i zamków, gdyby nie było morderców, awanturników i oszustów, nie istniałaby policya itd. Tej smutnej i uciążliwej konieczności całkiem usunąć niepodobna, ale należy przynajmniej ją łagodzić, ażeby brzemię ograniczeń nie przyciskało zbytecznie tych, którzy na nie wcale nie zasługują. Tymczasem w naszem życiu społecznem ciągle powtarzają się wypadki takiej ofiary. Zaprowadzono bilety ulgowe na kolejach żelaznych; ponieważ jednak zjawili się spekulanci, którzy nimi handlowali, więc je zniesiono. Kto na tem głównie stracił? Rozumie się masy ludzi uczciwych, którzy jeździli tanio i nie oszukiwali. Spirytus, używany do politury, był wolny od wysokiej akcyzy, a przeto tani. Pojawili się tajemni fabrykanci wódki z politury, którą skutkiem tego opodatkowano wyżej. I tak ciągle. Dlatego że kilkudziesięciu lub kilkunastu łotrów dopuszcza się nadużyć, tysiące lub miliony są pozbawione ulg w życiu. Naszem zdaniem, należałoby raczej wzmocnić czujność kontroli i energię hamulców przeciw wykroczeniom jednostek, aniżeli odbierać dobrodziejstwo ogółowi W takim razie bowiem sprawdza się tylko przysłowie: „ślusarz zawinił a kowala powiesili.“

Przeżyte kształty.

Redakcya *Wędrowca* ogłosiła wynik „igrzyska kwiatowego,“ inaczej mówiąc — konkursu na balladę i sielankę. W usiłowaniu kierownika literackiego *Wędrowca* widnieje szczere uwielbienie poezyi we wszystkich jej kształtach; myśl więc takiego igrzyska jest niewątpliwie sympatyczna. Wyniki jednak niezupełnie odpowiadają dobrym chęciom inicyatorów konkursu. Ballada i sielanka należą, jak wiadomo, do przeżytych form poezyi, niezgodnych zgoła ze współczesnymi warunkami bytu. Nie wierzymy w upiory, widma i czarnoksiężników, we wszelką „dziwność“ poetycką, nie mamy już rycerzy o stalowych zbrojach, mięśniach i duszach, skąd więc wziąć przedmiot do ballady, gdzie znaleźć natchnienie do utworu, do którego świat otaczający nie dostarcza ani jednego wzorku? Śmiejemy się z wymarzonej Arkadyi poetów, uperfumowanych wice - hrabiów i margrabin w perukach, udających czułych Filonów i płaczliwe Dorydy — po cóż więc wskrzeszać sielankę, która wogóle rzadko kiedy była szczera, a często listkiem figowym tkliwości przykrywała naj-

grubszą zmysłowość? A zresztą, gdzie teraz w jakim ludzie szukać stosunków arkadyjskich, gdy wszędzie panuje nędza, ciemnota i nizki poziom moralny. Nic więc dziwnego, że nagrodzone przez *Wędrowiec* utwory, mimo gładkości wiersza i poprawności stylu, są wogóle nieszczere, jakby wymuszone i robią wrażenie wypracowania na zadany temat. Wyjątek stanowi utwór p. Br. Ostrowskiej p. t. „Ze słońcem," napisany z pewnym polotem poetyckim i niewątpliwie miły w nastroju, lecz nie jest to właściwie sielanka. Wielką prawdę wygłosił Asnyk: „Daremne żale, próżny trud, bezsilne złorzeczenia! Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia!"

H. G.

BADANIA NAUKOWE.

Z zagadek życia.

Dr. Józef Nusbaum: *Szkice i odczyty z dziedziny biologii.*

Cechą charakterystyczną współczesnych badań biologicznych, wspólną zresztą wszystkim naukom przyrodniczym, jest dążenie do wynalezienia jednej myśli przewodniej i sprowadzenia najróżnorodniejszych pozornie zjawisk do przejawów prostszych, identycznych niemal dla całej materyi żyjącej. Jak w chemii dążność ta znalazła wyraz w teoryi atomistycznej, rozkładającej świat cały na pierwiastki nieskończenie małe, tak w biologii uzewnętrzniła się w teoryi komórkowej, przenoszącej punkt ciężkości badań nad życiem do śledzenia najelementarniejszych jego przejawów w ciałku protoplazmatycznem. Wyhodowana prze teoryę ewolucyjną, biologia nowszych czasów postępuje ciągle drogą, wskazaną jej przez Darwina i jego następców, zbiera liczne fakty na poparcie przypuszczenia, że życie jest tylko szeregiem coraz nowych przemian, różnicującej się wciąż, a zasadniczo niezmiennej materyi.

Dzięki ulepszeniom drobnowidzowym i metodzie doświadczalnej, zostały na zawsze usunięte z nauk biologicznych próby wyjaśnienia tajemnic życia za pomocą interwencyi „archeusza," lub niejasnej „siły życiowej," ustąpiły też naiwne teorye, dotyczące rozwoju osobników; spory owulistów i animalkulistów pozostaną tylko ciekawym dowodem tych błędów i śmieszności, przez które musi przechodzić umysł ludzki, dążący do prawdy. W komórce, w jej budowie szukać trzeba wytłomaczenia tych rozmaitych „tajemnic życia," które stają wciąż przed nami.

Wyjaśnieniu kilku ważniejszych zagadnień biologii poświęcona jest książka prof. Józefa Nusbauma. W szeregu szkiców i odczytów, objętych tytułem „z Zagadek życia," autor porusza sprawy, stanowiące od bardzo wielu lat przedmiot badań biologicznych. Opiera on się przytem na wynikach najnowszych docieckań w tym kierunku, podaje głównie teoretyczne objaśnienia omawianych zjawisk i sprzeczne wyniki, do jakich dochodzą badacze jednych i tych samych przejawów życiowych.

W pierwszych dwóch szkicach zapoznajemy się z najważniejszymi rezultatami, do których musiały doprowadzić spostrzeżenia nad życiem komórki i istot jedno-komórkowych. Przedewszystkiem więc powraca odwieczne zagadnienie nauk przyrodniczych, czy istnieją zasadnicze różnice między światem roślin i zwierząt („Granica pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym w świetle nowszych badań)." Czy wogóle słuszny jest ten podział wielkiej, nierozdzielnej przyrody na dwa różne królestwa? Otóż szereg doświadczeń, czynionych nad niższymi zwierzętami i roślinami, spostrzeżenia nad wyższymi nawet gatunkami, badania wreszcie protoplazmy jednych i drugich, wykazują, że niema zasadniczych różnic między temi istotami, pozornie tak odmiennemi, gdyż równie pobudliwą, czyli wrażliwą na działanie bodźców zewnętrznych, jest roślina, jak zwierzę. Po za tem właściwość ruchu, wymieniana w dawnych podręcznikach za odrębną cechę zwierzęcia, daje się odnaleźć u wielu roślin niższych i wyższych, a wreszcie proces odżywiania nie przedstawia różnic zasadniczych jakościowych, lecz tylko ilościowe. Jeżeli wreszcie zstąpimy do pierwiastków materyi żyjącej, do najmniejszych jej skupień, a więc do komórek pojedynczych, samotnie żyjących, do pełzaków i śluzowców, to zasadnicze różnice znikają tam tak dalece, że wprost niemożliwem jest stosować do tych istot utartych nazw rośliny lub zwierzęcia. „A zatem — kończy autor — zmuszeni będziemy przyznać, że ścisła linia demarkacyjna pomiędzy obydwoma państwami jestestw organicznych nie istnieje, co dowodzi prawdopodobnie wspólności początku najpierwszych ustrojów, jakie pojawiły się niegdyś na ziemi naszej."

Wyczerpującą i ciekawą jest monografia: „Dawniejsze i nowsze poglądy na rozwój osobnika zwierzęcego." Po wielu błędnych i naiwnych tłomaczeniach powstawania i rozwijania się istot, po sporach dawnych ewolucyonistów z epigenetykami, powracamy dziś znowu do tego zasadniczego sporu, lecz przeniesionego już na grunt badań nad komórką. Po jasnym i przystępnym wykładzie samego procesu dzielenia się jajka zapłodnionego, tworzenia kul przewężnych i listków zarodkowych, autor zaznajamia nas z teoryami neo-ewolucyonistów i ich przeciwników. Ponieważ jajko zawierać musi potencyalnie wszystkie części składowe, z których rozwija się przyszły osobnik, a zatem powstaje pytanie, jak części te są rozmieszczone. Roux, twórca t. zw. teoryi mozaikowej, i Weismann twierdzą, że pewne części jaja są zdolne wytworzyć tylko pewne określone organy; uczonym tym przybywają z pomocą doświadczenia Borna nad zdolnością regeneracyjną zwierząt, szczególniej żab; Hertwig, Driesch i inni przyjmują za pewnik, że każda część podzielonej komórki jajowej jest zdolną do wytworzenia całkowitego osobnika. Sprawa nie jest jeszcze ostatecznie rozwiązana, a wyniki, otrzymane z licznych doświadczeń, przytoczonych przez prof. Nusbauma, pozwalają na wyprowadzenie jednego wniosku, a mianowicie: jajko skaleczone lub podzielone na części, może wytworzyć całego osobnika tylko w pierwszych stadyach swego rozwoju, zarodek zaś już zróżnicowany traci tę zdolność prawie zupełnie.

W związku z temi zagadnieniami pozostaje także zdolność regeneracyjna, spotykana w mniejszym lub większym stopniu u istot żyjących. Ważnem jest, że ta zdolność wzrasta, im niższą jest organizacya danego osobnika.

Z zagadnieniami rozwoju wiąże się też ściśle kwestya zdolności komórek płciowych do zachowywania i przekazywania cech organizmu rodzicielskiego. Autor wzmiankuje o teoryach Hertwiga i Weismanna, wyjaśniających do pewnego stopnia zawiłe i trudne zagadnienie dziedziczności. Syntetyzując niejako dwie te różne teorye, mówi on między innemi: „Mojem zdaniem, teorya Hertwiga, według której wszystkie komórki ciała ustroju odziedziczają po jajowej zawiązki wszystkich cech — stosować się może do najniższych organizmów, a także do roślin i do niższych zwierząt; dla wyższych atoli musimy przyjąć ideę Weismanna, według której idyoplazma w swym stanie pierwotnym, niezmienionym, przenosi się tylko na komórki płciowe, różnicuje się zaś, tj. rozpada na różnorodne grupy idyoblastów w komórkach cielesnych, które dlatego też specyalizują się i tracą zdolność reprodukowania ustroju."

Od tajemnic życia komórki przechodzimy w dwóch następnych szkicach do tajemnic życia społecznego, do zaczątków tego życia u zwierząt i roślin. I tu znowu stają przed nami owe nierozwiązane jeszcze i zawiłe pytania, dotyczące tak ciemnego i trudnego do zbadania przedmiotu, jakim jest umysłowość zwierząt. W szkicu „Z nowszej psychologii porównawczej" autor zwraca uwagę na brak dokładnych badań w tym kierunku. Jak wszystkie nauki, opierające się na ewolucyi, szukają genezy wszelkich zjawisk w ich najprostszych przejawach, tak i psychologia człowieka powinnaby się opierać na badaniach porównawczych nad istotami ludzkiemi ras niższych, a schodząc jeszcze dalej, powinna doszukiwać się przejawów świadomości na najniższych już nawet szczeblach drabiny zwierzęcej.

Pomimo jednak nagromadzenia licznych i niezmiernie ciekawych spostrzeżeń z życia zwierząt towarzyskich, pomimo wykrycia zadziwiających rzeczywiście objawów „inteligencyi" w państwach mrówek i pszczół, nie zdołano jeszcze zgodzić się, czem jest naprawdę owa „inteligencya." Jedni, jak Bücher, Romanes, antropomorfizują zbytnio objawy instynktu tych zwierząt, inni, jak Bethe, uznają mrówki za „maszyny odruchowe, wykonywające bez żadnej świadomości, jak automaty, najbardziej złożone czynności." Uczony ten przyznaje mrówkom ogromnie rozwinięty węch, dzięki któremu owady te mają reagować odruchowo na bodźce węchowe; przy pomocy tego zmysłu odnajdują drogę do gniazda, odróżniają towarzyszki od mrówek wrogiej gromady. Doświadczenia, czynione przez Bethego, są niezmiernie ciekawe. Autor podaje wiele mniej znanych szczegółów z życia mrówek, przytacza ciekawe fakty z ich obyczajowości i dowody wysoce rozwiniętych popędów społecznych. Zadziwiającemi są np. te mieszane kolonie mrówcze, rodzaj federacyi kilku różnorodnych gatunków, żyjących zgodnie w jednem gnieździe i wyświadczających sobie usługi wzajemne.

Po za światem zwierząt, żyjących gromadnie, bywa jeszcze współżycie mniejszej ilości osobników, aż do dwóch, służących sobie wzajemnie, lub pozostających w stosunku żywiciela i pasorzyta. Istnieje niedająca się obliczyć ilość tych istot o uwstecznionej organizacyi, pozbawionych narządów ruchu, zmysłów, a nawet przewodu pokarmowego, żyjących jako pasorzyty wewnętrzne w ciele lub na ciele istot wyżej uorganizowanych. Ciekawem jest badanie tego życia, zasadzającego się wyłącznie na odżywianiu i rozmnażaniu, życia istot, nieznających i nieposzukujących słońca, a tak wspaniale przystosowanych do warunków: wzamian za utratę zmysłów i wszystkich prawie narządów, natura dała haczyki, przyssawki i zdolność wytwarzania nieskończonej ilości jaj, zapewniających im utrzymanie gatunku w trudnej i, bądź co bądź, niebezpiecznej walce o byt. Po przedstawieniu dawnych poglądów na pasorzytnictwo, autor podaje teoryę ewolucyjną powstania pasorzytów według której są one potomkami zwierząt drapieżnych, które straciwszy zwykły przedmiot swej zdobyczy — drobne istoty, zaczęły napastować gatunki większe. Żyjąc na nich czasowo zaczęły powoli przystosowywać się do nowego pożywienia i stopniowo przez długie szeregi lat

wykształcać coraz bardziej odpowiednie organy, zatracać inne, aż stały się wreszcie niezdolnymi do ruchu i życia samodzielnego. Drugą formą współżycia jest symbioza, oparta na wzajemnej wymianie usług. Tu autor podaje liczne przykłady współżycia, znane pożycie skorupiaka z ukwiałem, cekropii z mrówkami, wreszcie grzybów z glonami.

Książka prof. Nusbauma nie stanowi jednolitej całości ze względu na różnorodność tematów omawianych; dopatrzeć się wszakże w niej można jednej myśli przewodniej: o ile autor wypowiada się sam (całe bowiem dziełko jest rodzajem sprawozdania z tego, do czego doszła współczesna nauka w danej sprawie), stoi on na stanowisku teoryi ewolucyi, której jest gorliwym rzecznikiem. Na zakończenie dodany został artykuł o „etycznej korzyści studyów biologicznych,“ stanowiącej jakby odpowiednik dawniejszej rozprawki o „Estetyce w biologii.“ Artykuł ten ma raczej pedagogiczną, niż naukową wartość, zawiera bowiem osobiste poglądy autora na umoralniające i kształcące znaczenie studyów biologicznych.

N. M. J.

LITERATURA I SZTUKA.

STUDYA I WRAŻENIA

III.

Marya Konopnicka: *Trzy studya.* Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa; Kraków, G. Gebethner i S-ka. Rok 1902, str. 308.

Ktoś powiedział, że utwór krytyczny o jakiemś dziele sztuki ma o tyle racyę bytu, o ile sam jest również dziełem sztuki. Tak pojmowana krytyka niezawsze da się zastosować. Wyłączyć wypadnie z niej przedewszystkiem setki i tysiące krótszych i dłuższych artykułów sprawozdawczych, służących potrzebom chwili. Niezawsze mają one do czynienia z dziełami sztuki, a wyjątkowo chyba mogą być niemi same; są przecież niezbędne, a często i pożyteczne. Że jednak owo wysokie pojmowanie krytyki nie jest ideałem niedościgłym, że można zbliżyć się do niego, a nawet odpowiedzieć mu w zupełności, na to w literaturze znalazłoby się dowodów niemało. Do najnowszych i z pewnością najwymowniejszych u nas należą szkice i rozprawy krytyczne Maryi Konopnickiej.

W ostatniem dziesięcioleciu swej działalności literackiej znakomita poetka bywała niejednokrotnie tłomaczką cudzych pomysłów i usiłowań twórczych. Studya jej o Asnyku i Mickiewiczu zaliczono słusznie do najlepszych i najgłębszych rzeczy, jakie o tych poetach powstały, a wydane obecnie trzy rozprawy krytyczne („O komedyi bohaterskiej Edmunda Rostanda,“ „Juliusz II Juliana Klaczki,“ „Krzyżacy Henryka Sienkiewicza“) nietylko wytworzyły razem jedną z najpiękniejszych książek, jakie w tym rodzaju i zakresie mieliśmy kiedykolwiek w ręku, lecz i bezwzględnie biorąc, złożyły się na rzecz prześliczną.

Wielki talent pisarski autorki „Pana Balcera“ gra tu oczywiście rolę główną, i jego to przedewszystkiem zasługa. Lecz niezależnie od talentu, wybitne zalety tej książki dadzą się i tem wytłomaczyć, że Konopnicka nie należy wcale do rzeszy krytyków zawodowych i, dzięki temu właśnie, korzysta z dużo większej, niż oni, swobody. Mieniąca się wszystkiemi barwami tęczy fala twórczości współczesnej do stóp jej niesie całe góry piasku, w którym gdzieniegdzie błyśnie grudka złota lub cenna koncha perłowa. Poetka ma zupełne prawo sięgnąć ręką po perły i złoto, omijając piasek i muszle zwyczajne, a i z tego nawet, co wartościowe i lśniące, może wybrać to tylko, co wzrok jej najsilniej przyciąga, co odpowiada najbardziej jej własnej wyobraźni twórczej, jej własnym umiłowaniom i porywom. W taki sposób pod wpływem bardzo blizkiego „powinowactwa z wyboru,“ powstały studya krytyczne o „Bergerac'u,“ „Juliuszu II“ i „Krzyżakach.“ Nie studya zresztą — to określenie zbyt słabe — lecz samodzielne i porywające w szczegółach, przepiękne w wykonaniu symfonie poetyckie, do których tylko wątku i motywu dostarczyli autorce Rostand, Klaczko i Sienkiewicz.

Pisarze, których dzieła potrafiły tak silnie wzruszyć Konopnicką, że odebranemi od nich wrażeniami zapragnęła się podzielić z szerszym ogółem, nie mają powodu uskarżać się na losy. Poetka nasza wzięła sobie za dewizę pogląd M. Barrès'a, według którego krytyka nie zasadza się na czczych pochwałach lub naganach. *La critique — c'est comprendre l'oeuvre et la faire comprendre* („Krytyka polega na zrozumieniu dzieła i uczynieniu go zrozumiałem“)— ten trafny aforyzm utalentowanego autora „Ogrodu Bereniki“ jest hasłem, któremu Konopnicka pozostała wierną we wszystkich swych studyach literackich. Niewielu krytyków umie w tym stopniu, co ona, wniknąć we wszystkie, czasem nawet napół bezwiedne, zamiary twórcy, tak przejąć się dziełem artystycznem i tak uwydatnić jego piękności. To ostatnie zwłaszcza uważa ona za główny obowiązek krytyki i, wziąwszy czytelnika za rękę, prowadzi go, jak wyrozumiała dla młodszego brata siostra, przez krainy piękna, od czasu do czasu tylko zdając się mówić półgłosem: „Patrz i podziwiaj!“

W czem jednak jest ona wprost znakomitą, to w malowaniu tła utworów. Na kilku stronach umie skupić rysy, rozrzucone przez autora w tomach całych, i bez dostrzegalnego dla oka wysiłku wprowadza nas do samego serca środowiska, w którem też odrazu dalecy być zaczynamy od uczucia obcości. Widzimy to w studyum o „Cyranie,“ gdzie przy tej sposobności dostaje się nieco zwyrodniałym przedstawicielom „dekadentyzmu“; widzimy w „Juliuszu II,“ widzimy w jeszcze wyższym stopniu w „Krzyżakach.“ „Przepyszne tło — można o każdem z nich powiedzieć razem z poetką — aby nie zbladło, musi być malowane wprost słonecznym blaskiem.“ Świateł, barw i promieni nie brak, szczęściem, na palecie Konopnickiej. O ulubionych pisarzach i dziełach mówi ona przytem z junacką jakąś fantazyą i werwą, tu i owdzie rzuci słów kilka, które na długo zostaną w pamięci i rzecz samą tłomaczą wybornie. „Cyrano de Bergerac — czytamy np. na samym początku — nietylko jest człowiekiem swojej epoki, ale jest Francuzem. Nietylko Francuzem, ale Gaskończykiem. Nietylko Gaskończykiem, ale --żołnierzem. Nietylko żołnierzem, ale — poetą. I nietylko poetą, ale — zakochanym.“ To się nazywa w kilku słowach umieć powiedzieć — wszystko.

Trzy ostatnie sudya literackie Konopnickiej są, trywialnie mówiąc, streszczeniami. Proszę mi jednak pokazać u któregokolwiek z pisarzów podobne odtworzenie cudzego dzieła, gdzieby drgająca życiem fala treści, aż się przelewała przez kartki, gdzieby wypukłość pojedynczych scen, barwność i żywość obrazów przewyższała niemal pierwowzór, a charakterystyka osób występujących nic absolutnie nie pozostawiała do życzenia. Gdy mowa o „Bergerac'u,“ razem z autorką, scena za sceną, przeżywamy dzieje jego duszy. Jej Juliusz II“ równie dobrze, jak Klaczki, przenosi nas do słonecznej Italii i żyć każe w cudownej dobie odrodzenia, obcować z Peruginem i Bramantem, z Sansoviną i Rafaelem, a przedewszystkiem z ponurym geniuszem Michała Anioła, który, choć „nie malarz,“ marząc o tytanicznych grobowcach i posągach, przyozdabia arcytworami pędzla sklepienia i ściany kaplicy Sykstyńskiej, jest jedynym, pierwszym i ostatnim, nie podlega prawom, lecz je tworzy. Zapoznajemy się również i z papieżem tym dziwnym, który z mieczem, nie z księgą w ręku malować się każe, w męstwie dorównywa żołnierzom, a w klątwach — przewyższa ich znacznie; od wstąpienia na stolicę Piotrową otacza się artystami i dziełami sztuki, a na miejsce Bazyliki starej wznieść zamierza świątynię piękniejszą i wspanialszą, „jakiej nie miała nawet Dyana w Efezie.“ A ze studyum Konopnickiej o „Krzyżakach,“ w równym niemal stopniu, jak z dzieła samego, bije owa „ogromna dalekość dziejowa i ogromna uczuciowa blizkość,“ uważane przez poetkę, przejmującą się nawet językiem i stylem dzieł odtwarzanych, za dwa naczelne momenty powieści Sienkiewicza.

Nie kusimy się o uwydatnienie poszczególnych zalet i piękności najnowszej książki Konopnickiej. Chcąc powziąć o nich pojęcie, trzeba te trzy studya przeczytać, chociażby po to, by się przekonać naocznie, w jaki sposób wrażliwy umysł poetki reaguje na piękno w pokrewnych jej dziełach artystycznych. Nim jednak tom ten zamkniemy, pozwolimy sobie podkreślić na zakończenie po jednym momencie w każdej z trzech rozpraw, wybierając te, naturalnie, które nas uderzyły najbardziej.

Dawały się u nas słyszeć głosy powstające przeciwko przecenianiu Rostanda. Trudno go uważać, istotnie, za twórcę pierwszorzędnego, otwierającego przed sztuką widnokręgi nowe, niepodobna jednak zaprzeczyć, że jest on poetą prawdziwym. Na kartkach swego studyum dowiodła tego wymownie Konopnicka, a stopniowe odsłonięcie przed wzrokiem czytelników coraz głębszych pokładów duszy głównego bohatera „komedyi bohaterskiej,“ stanowi znakomitą poprostu próbę analizy krytycznej..

Kulminacyjnym punktem pracy Konopnickiej o „Juliuszu II“ Klaczki jest odtworzenie sceny, w której Michał Anioł ukazuje po raz pierwszy zdumionym oczom zebranego tłumu genialne swe freski w Sykstynie. Autorka mówi z zachwytem o odpowiednim ustępie w dziele Klaczki i odsyła do niego czytelnika. Porównywaliśmy obie sceny i przyznać musimy, że to, co nam daje Konopnicka, ma więcej zapału i ognia, więcej uniesienia i zachwytu, niż pierwowzór. Znać, że wobec tych arcydzieł, o których mówi w dalszym ciągu, poetka spędzała w zadumie godziny długie i że te karty skreślone zostały tem samem piórem, które kaplicy Sykstyńskiej poświęciło gdzieindziej cały poemat liryczny. To też te miejsca jej książki zestawić moglibyśmy chyba ze wspaniałem zakończeniem przepysznego studyum o „Krzyżakach,“ gdzie na kilku stronicach daje nam autorka, nieustępujący sienkiewiczowskiemu, opis bitwy grunwaldzkiej, pozwalając odpocząć duchowi i myśli na potężnym ataku piechoty kmiecej, idącej jak powódź nieprzeparta.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

— *Pamiętnik literacki*, rocznik I, zeszyt III. Lwów—Warszawa, 1902.

Trzeci z kolei zeszyt *Pamiętnika literackiego* zawiera w dziale rozpraw trzy tylko tytuły,

z których szczególną uwagę zwracają na siebie „Sejmiki literackie w dobie romantyzmu,“ p. A. Potockiego. Mowa tu o almanachach i kalendarzach politycznych, naukowych i literackich we Francyi i u nas w dobie świtania romantyzmu; są to rzeczy zupełnie nieznane i niezmiernie ciekawe, jako przyczynki do charakterystyki nastroju opinii publicznej owych czasów. Między notatkami zasługują na wyszczególnienie: ks. J. Fijałka o wierszach polemicznych Krzyckiego przeciw Lutrowi; St. Dobrzyckiego o genezie pieśni Kochanowskiego „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary,“ i Ig. Chrzanowskiego przyczynek do powstania dwu satyr Krasickiego. Dział sprawozdawczy jest bardzo obfity: zawiera ocenę nietylko książek, lecz, co jest nowością godną rozpowszechnienia, i celniejszych artykułów w czasopismach.

Kończy zeszyt bibliografia. Jest ona, zdaniem naszem, zbyt obszerna. Należałoby może czynić między wymienionymi utworami pewien wybór, chociażby dla zaoszczędzenia miejsca dla innych działów. *g.*

POEZYE

SNY.

Śnią mi się czasem słoneczne ogrody,
Lub pszenne, srebrnie wykłoszone łany
I wonne gaje.... Przez liście przesiany
Słoneczny promień drga w krysztale wody
Lub zalśni tęczą w rosianym dyamencie,
A paprociowych pióropuszy kiście
Szepczą w półmroku leśnym uroczyście
Baśń o odrodzeń rozświetlonem święcie...

A czasem we śnie widzę cmentarzyska,
Gdzie z zapadniętych mogił klęska wstaje
I sina — biegnie straszyć na rozstaje,
Lub błędnym ogniem na moczarach błyska...
Straszne milczenia, pustynne obszary,
Przeklęte, śmiercią zionące pustkowia,
Pełne ludzkiego wylękłego mrowia.,
Przede dniem sądu i ostatniej kary....

Umarli cicho idą...

Umarli cicho idą w zaświata przestrzenie,
Zapatrzeni w mistycznych rozradowań słońca,
Szczęśni, iż nędzy wątpień dosięgnęli końca,
Aktem śmierci wcielając wiecznych zórz pragnienie...

Żal im jedynie mrowia, które pozostaje
W łez dolinie, na długie rzucone męczarnie,—
Żal im ciżby, co błędnie do życia się garnie,
Wiedziona przez moc ciemną na złudzeń rozstaje....

Więc, gdy we wrót spiżowych wnijdą tajemnicę,
Chorałem próśb błagalnych proszą wybawienia
Dla tych, co tam zapadli w ślepot odrętwienia —
Biedne dusze obłędne, grzechu wyrobnice....
Idą zmarli, przyniebnym podobni żórawiom,
A zostający — w łkaniu rozpacznem się dławią....

Rozstania.

Odlatujących klangor żórawi
W zachodu cichych ogniach się pławi....
Nieukojonej tęsknoty ból
Włóczy się w pustce osmętnionych pól....
— A jako owe podniebne tułacze
Dusza się moja rwie w bezdrożną dal, —
Na wypoczynków świątecznych ogniska..
Choć tęskność wielka serce mi uciska, —
Nie płaczę,
Jeno mi żal... tak żal....

I dziś gdy, złoty sen swój żegnać muszę,
Omdlałość śmierci pada mi na duszę....
Na krasne ongi kielichy róż
W milczeniu pada zobojętnień kurz
I wokrąg blade powstają rozpacze....
Więc chciałbym uciec gdzieś w zaświatną dal,
Kędy rozbłyska wiecznej prawdy znamię,
Gdzie żadna dusza już mojej nie skłamie....
I cicho płaczę,
Bo mi tak żal, — tak żal....

Stefan Wodziński.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Drugi kongres, mający na celu obmyślenie środków zwalczenia handlu „żywym towarem,“ odbędzie się we Frankfurcie n. M. d. 7—9 października r. b.

— *Warsz. Dn.* zwraca uwagę, że wójtowie gmin w Królestwie Polskiem niesłusznie żądają od zgłaszających się do nich listownie mieszkańców, ażeby wraz ze starym paszportem przysyłali również i odpowiednią ilość marek na przesyłkę pocztową, okólnik bowiem ministeryum spraw wewnętrznych z d. 3 sierpnia 1899 r. nr. 78 głosi, że „do próśb o wysłanie paszportu marek pocztowych na przesyłkę dołączać nie należy.“

Z Poznańskiego. Mowę cesarza Wilhelma, wygłoszoną w gmachu stanów prowincyonalnych w Poznaniu, rozkazano rozlepić nietylko w samem mieście, lecz również we wszystkich okolicach polskich na Śląsku.

— Przemysłowcy polscy w Poznaniu postanowili otworzyć wystawę galicyjskich wyrobów przemysłowych, a następnie dążyć do zawiązania stosunków handlowych z Galicyą.

Szkoły i wychowanie. D. 1 października rozpoczną się wykłady i zajęcia praktyczne w Towarzystwie ogrodniczo-pszczelniczem, na które zapisywać się mogą mężczyźni i kobiety. Wykłady obejmą: botanikę i jej działania — anatomię, fizyologię, morfologię i systematykę, oraz naukę o owadach szkodliwych; sadownictwo, warzywnictwo, kwiaciarstwo, miernictwo; pszczelnictwo i przetwory owocowe. Zapisywać się można w kancelaryi Towarzystwa, ul. Wiejska nr. 12.

— We Lwowie powstaje szóste gimnazyum państwowe z językiem wykładowym, polskim.

— Otworzona została pierwsza szkoła rzemieślnicza niedzielna dla kobiet, która powstała skutkiem starań delegacyi pracy kobiet przy sekcyi rzemieślniczej. Uczenice przyjmowane będą za opłatą 5 rb. rocznie, wnoszonych przez pracodawczynie i 50 kop. miesięcznie — przez uczenice. Wykłady odbywać się będą w niedziele od godziny 2 do 5 po południu.

— P. Stanisława Morawska otworzyła w Warszawie przygotowawcze kursa wieczorne żeńskie. Zakład ten ma na celu kształcenie kobiet, które po skończeniu gimnazyum mają zamiar poświęcić się dalszym studyom naukowym. Ukończenie kursu dwuletniego dawać będzie prawo wstąpienia do uniwersytetu na wydział lekarski lub możność otrzymania stopnia nauczycielki. Jednoroczny pobyt na kursach pozwala poświęcić się zawodowi farmaceutycznemu.

— Warszawskie Towarzystwo farmaceutyczne zawiadamia, iż w roku bieżącym, szkolnym, wakują następujące stypendya, przeznaczone dla słuchaczów farmacyi w uniwersytecie warszawskim: 1) stypendyum Feliksa Szteynera (ojca) rb. 50; 2) Maryi Fabjanowej — 50; 3) Szymona Fabiana — rb. 60; 4) Anastazego Sucheckiego — rb. 50, z pierwszeństwem dla kandydata, przedstawionego przez Rafała Leona Sucheckiego lub jego potomków, dopóki apteka w Brześciu Litewskim będzie w posiadaniu Sucheckich; 5) Franciszka Sokołowskiego — rb. 50, z pierwszeństwem dla kandydatów, pozostających bez przerwy, jako podaptekarze, przez dwa lata w aptece dawniej Fr. Sokołowskiego obecnie ss ów H Kucharzewskiego), a w braku tych, dla podaptekarzy, pozostających w innej aptece warszawskiej, a wreszcie i w innych aptekach w Królestwie Polskiem, lecz zawsze z zachowaniem powyższego warunku. Wybrany kandydat, w razie dopełnienia we właściwym czasie wymaganych przez władze egzaminów, może pobierać to stypendyum przez dwa lata. 6) Michała Damskiego—rb. 50, z pierwszeństwem dla kandydatów przedstawionych przez córkę zapisodawcy; 7) Mikołaja Zawadzkiego — rb. 50; 8) Piotra Kuchcińskiego — rb. 50; 9) profesora Juliana Trappa — rb. 50. Współubiegający się o powyższe stypendya i nagrody winni składać na ręce sekretarza Tow. farmaceutycznego w Warszawie (apteka przy ul. Mazowieckiej 20) podania piśmienne, poświadczone przynajmniej przez dwóch członków Towarzystwa, z dołączeniem krótkiego *curiculum vitae*.

Wiadomości naukowe. Po czteroletniej nieobecności powrócił z wyprawy ku biegunowi północnemu Peary, znany badacz Grenlandyi, którą świetnie opisał w książce. *Northward*. Tym razem dosięgnął on 84° 17' szerokości północnej, czyli pozostał w tyle za Nansennem, który dotarł do 86° 14' i księciem Abruzów, który posunął się do 86° 33'.

— Z zapisu Józefy Sierakowskiej przeznaczona została przez jej spadkobierców na własność Kasy Mianowskiego suma 6,600 rubli, jako fundusz żelazny, od którego procenty obracane być mają na zapomogi, stosownie do celów Kasy, dla synów podupadłych lub zubożałych właścicieli ziemskich, wyznania rzymsko-katolickiego, z gub. Płockiej, a w ich braku dla innych osób, wedle uznania zarządu Kasy. W myśl powyższego przeznaczenia funduszu, komitet Kasy wzywa osoby, pracujące na polu naukowem, a chcące ubiegać się o zapomogę, aby w ciągu 3 miesięcy, złożyły w biurze komitetu (Niecała nr. 7) lub do rąk jednego z członków komitetu stosowne podanie, z wyszczególnieniem podjętych prac naukowych i miejsca stałego zamieszkania. Kandydaci winni dołączyć do podania metrykę i wiarogodne zaświadczenie, że pochodzą z podupadłych lub zubożałych właścicieli majątków ziemskich w gub. Płockiej. Stosownie do § 2 ustawy Kasy, zapomogi mogą otrzymywać tylko poddani rosyjscy, o ile nie przebywają za granicą bez pozwolenia rządu i że wedle zastrzeżenia przez władze postanowionego, zapomoga przyznana kandydatowi kształcącemu się w jakimkolwiek zakładzie naukowym okręgu naukowego warszawskiego, będzie wypłacona dopiero po zatwierdzeniu wyboru przez kuratora tegoż okręgu.

Literatura i prasa. Rozstrzygnięty został konkurs *Wędrowca* ogłoszony na balladę i sielankę: za balladę złotą różę przyznano p. Wł. Nawrockiemu srebrną — p. K. J. Jasińskiemu; za sielankę: lilię złotą — p. Bronisławie Ostrowskiej, srebrną — p. K. Glińskiemu.

— Od 15 października wychodzić będzie w Warszawie *Międzynarodowy Kuryer Handlowy*, w pięciu językach: polskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim i angielskim.

Ze sztuki. Z inicyatywy dr. Teodera Dunina, delegacya architektoniczna Muzeum przemysłu i rolnictwa ogłosiła konkurs na projekt świecznika salonowego (żyrandola). Pracom najlepszym przyznane będą nagrody 100 i 50 rubli; termin nadsyłania projektów do *Przeglądu Technicznego* w Warszawie (Krakowskie Przedmieście 66) upływa z d. 25 listopada r. b. Szczegółów konkursu udziela również redakcya *Architekta* w Krakowie.

— Rada m. Wenecyi ogłosiła konkurs na wielki medal złoty dla piątej międzynarodowej wystawy sztuki, odbyć się mającej w r. 1903. Nagroda 3,000 lirów. Wzory nadsyłać należy „ Ufficio di Segretaria dell' Esposizione (Munizipio di Venezia).“

Koleje i komunikacye. W myśl umowy zawartej w r. 1899 na budowę kolei podmiejskiej i użytkowanie placów, magistrat postawił za warunek, ażeby zarządy kolejek wprowadziły u siebie kasy zapomogowo-oszczędnościowe dla urzędników i oficyalistów. Wypełnienia tego warunku podjął się obecnie zarząd kolei Jabłońsko-Wawerskiej, który, po porozumieniu z zarządami kolejek Wilanowskiej i Grójeckiej, postanowił utworzyć kasę wspólną dla tych trzech kolei.

— Z dniem 14 października r. b. wprowadzona zostaje bezpośrednia komunikacya osobowa pomiędzy Warszawą a Londynem, na Aleksandrów Herbestahl, Bleiberg, Vlissingen, Boulogne—Folkstone lub Ostenda—Dover, i odwrotnie. Cena biletu z Warszawy do Londynu ustanowiona: w wagonie I klasy rb. 89 kop. 75 i powrotnego — rb. 149 kop 24, i II klasy— rb. 62 kop 57, powrotnego rb. 104 kop. 65. Za przewóz bagaży dopłata wynosi rb. 4 kop. 36 za 10 kilogramów w każdą stronę. Bilety książeczkowe z kuponami ważne w jedną stronę w ciągu 30, powrotne — w ciągu 45 dni.

— Ministeryum komunikacyj wydało zakaz fotografowania na użytek prywatny linij kolejowych, budowli mostów, oraz widoków, położonych wzdłuż dróg żelaznych.

Zdrowie publiczne. Władza wyższa zażądała od warszawskiej rady dobroczynności publicznej wyjaśnienia, czy szpital w Tworkach nie dałby się powiększyć ze względu na znaczną liczbę umysłowo chorych w Królestwie Polskiem; obliczono bowiem, że dosięgają oni liczby 10,000, gdy miejsc dla nich w lecznicach jest tylko 1,300.

— W Hobeidzie, w Arabii, wybuchła gwałtownie cholera.

Sprawy ekonomiczne. W Kamieńcu Polskim otworzono w tygodniu ubiegłym pierwszą okręgową wystawę rolniczo-gospodarczą, urządzoną staraniem podolskiego Tow. rolniczego.

— W Rzymie odbył się piąty kongres międzynarodowego związku ochrony własności przemysłowej.

— Według sprawozdania zarządu akcyzy w roku 1900—1901 w 331 gorzelniach w Królestwie Polskiem, z różnych produktów wytworzono 3,114,694 wiader spirytusu bezwodnego.

— Zawiązane zostało w Warszawie akcyjne Towarzystwo stolarzy z kapitałem zakładowym 200,000 rb.

Katastrofy. W Ameryce, w stanie Alabama, w gminie murzyńskiej baptystów, Shiloh, skutkiem bójki powstał popłoch w kościele; podczas tłoczenia się do wyjścia kilkadziesiąt osób utraciło życie lub odniosło rany.

Zmarli. Kazimierz hr. Dzieduszycki, we Lwowie, poseł do Rady państwa.

— W Wiesbadenie, gdzie chwilowo przebywał zmarł d. 24 września Franciszek Salezy Lewental wydawca: *Kłosów*, *Biblioteki najcelniejszych utworów*, *Tygodnika romansów i powieści*, współwłaściciel *Kuryera Warszawskiego*.

— Dr. Ernest Dümmler, we Friedrichsrode, profesor, historyk, prezes dyrekcyi głównej wydawnictwa *Monumenta Germaniae Historica*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Ster. „Sonet“ słaby zupełnie, „Śpiew poety,“ „Łza“ i „Zwątpienie“ lepsze, ale na druk jeszcze za wcześnie. Poczekajmy, czy do łatwości rymowania i pewnej śpiewności wiersza nie dołączą się z czasem oryginalność i siła.

Panu M. Dym. w Horkach. List otrzymaliśmy. Życzenie spełniamy.

SPROSTOWANIE. W numerze poprzednim, w artykule p. t. „Kara w wychowaniu,“ str. 451, szp. 1, w. 45, zamiast „profesorowi,“ winno być „postępowi.“

— Do numeru bieżącego dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 13—1[illegible] dzieła dr. Fryderyka Kirchnera p. t. **Kate[illegible]izm Historyi Filozofii**, w przekładzie dr. [illegible] Krauza.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Сентября 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.